



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr. 15 (105)

NIEDZIELA, 4 CZERWCA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

MIECZYŚLAW ROMAN

POLSKA W POLITYCE CHURCHILLA

Zarzut egoizmu, postawiony mężowi stanu — nie jest zarzutem poważnym: żaden mąż stanu nie ma prawa kosztem swego kraju robić podarunków obcym lub bawić się w filantropię. Ale poważnym zarzutem jest zarzut krótkowzroczności. I właśnie ten zarzut czynimy polityce Churchilla. Mąż stanu, który kosztem długofalowych interesów swego kraju pragnie oszczędzić swoim współobywatelom łez i potu — uprawia politykę krótkowzroczną. Jeżeli niedawno jedno z pism londyńskich poszło sytuację słowami: „Naród angielski nie przeszedł wraz z rządem drogi od idealizmu do cynizmu” — to słowo „idealizm” nie oznacza w tym kontekście nic innego, jak dobrze pojęty, długofalowy interes Anglii. Pod tym znakiem wojna zaczęła się dla Anglików i pod tym znakiem musi być doprowadzona do końca, jeżeli nie ma być przegrana.

„Nie po to zostałem premierem Jego Kr. Mości, by stać się grabarzem Imperium Brytyjskiego” — oświadczył dumnie Churchill, gdy mu sugerowano, że dla utrzymania pokoju po wojnie — a więc dla „wyrwania pokoju” przez koalicję narodów zjednoczonych — byłoby lepiej, gdyby Imperium Brytyjskie zostało rozbite i gdyby jego części składowe uzyskiwały całkowitą niepodległość. „Wygranie pokoju” jest pięknym ideałem, ale jeszcze piękniejszym jest utrzymanie Imperium Brytyjskiego. Nie wątpimy, że Churchill nie wahałby się przegrać wojny, gdyby tą drogą można było zapobiec rozbiorowi Imperium, a nawet, że zaryzykowałby nowy okres „krwi, łez i potu”, byle do tego rozbioru nie dopuścić. I nie po dzielnym ciasnym fanatyzmu tych, którzy w takiej postawie widzą zaczynanie torysa, „nie rozumiejącego nowych czasów”. Wiemy, że postawę tę aprobują wszyscy zdrowi na umyśle Anglicy i że nawet — długo przed demagogią przetypaną — samowiedza polityczna robotników angielskich jest w zgodzie z takim stanowiskiem premiera W. Brytanii. Przewidowa społeczna jest pożądana, ale nie powinna się odbyć w drodze politycznej kapitulacji — tak miły kaźni prawdziwy Anglik, który nie mógł zczadzeniu przez międzynarodową frazeologię.

Churchill widzi w Anglii metropolę „brytyjskiej wspólnoty narodów” — nie jeden z krajów europejskich z 47 milionach ludności, która pragnie utrzymać swoje sadyby i spokój — w nich bytować. Bytować spokojnie to mało: trzeba żyć godnie, godność Anglika tkwi w jego dumie jako budowniczego wielkiego imperium. Godność człowieka jest przede wszystkim kategorią polityczną, bo o stracił goność polityczną, okryła się godnością „moralną jak darowanym łachmanem. „Ja w wychodku nie potrafię” — powiedział inny człowiek godny i wyruszył na zdowanie swemu narodowi egzystencji politycznej... mieczem. Premier Chur-

chill mało nas zna i o człowieku, który wypowiedział te brutalne słowa, zapewne wie niewiele. Być może, rzadko spotyka się też z Polakami, którzy tak myślą i czują, jak ten Polak z Litwy rodem. Bo czymżeż można wytłumaczyć, że tego, co uważa za fundament gośności angielskiej, nie chce przyznać Polakom? „Tym, czego właśnie pragniemy, jest wspólna akcja wszystkich Polaków ze wszystkimi Rosjanami przeciwko

regach polskich jest rzucony przez Sowiety — i podjęty lekkomyślnie przez Churchilla — pomysł „odszkodowania” nas za korekturę granic wschodnich nabytkami na zachodzie. Zbyt dokładnie śledzimy los tego projektu, by nie zdawać sobie sprawy, że nie jest to projekt poważny. Ma on przede wszystkim wielu wrogów w Anglii i Ameryce, gdzie podniosło się przeciw niemu wiele głosów protestu. Polaków nawet nie pytano, czy

możemy dopuścić do tego, by — jak już raz w sprawie tzw. „linii Curzona” — ugruntuowały się w świecie błędne przekonania na temat praw terytorialnych Polski. Niemcy muszą nam oddać, co nam zabrali, ale wcale nie dlatego, żeby ktoś inny mógł nam w zamian za to zabierać, co mu się podoba. Świat powinien wiedzieć, że gdy zwalczamy pomysł „odszkodowań”, nie rezygnujemy z tego, co nam się na zachodzie należy. A nie wątpimy, że znajdują się ludzie „dobrej woli”, którzy odrzucenie przez nas „odszkodowań” będą uważali za rezygnację z naszych praw na zachodzie!

Ale projekt „odszkodowań” dla Polski zaopatrzył Churchill w swojej mowie w komentarz, który omówiliśmy pokrótce już w przeglądzie wydarzeń poprzedniego numeru „Orła”, a który rzuca cień między nas i Churchilla. Dziwnie znajomą nutą zabrzmiały nam te słowa o „odpowiedniej i wystarczającej siedzibie umożliwiającej narodowi polskiemu bezpieczne bytowanie”. Rzecz jasna, słowa Churchilla można przetłumaczyć ogólnie, ale to tłumaczenie nie odda sensu angielskich słów „a good, adequate and reasonable homeland in which the Polish Nation can safely dwell”. Słowo „reasonable” znaczy rozsądny, słuszny, wreszcie umiarkowany. Żaden z tych przymiotników nie da się zastosować do słowa „homeland”, które najlepiej oddaje polskie „ojczyszczyna”. „Reasonable” znaczy „dający się pogodzić z rozsądkiem”, a więc nie za wielki i nie za mały, „w sam raz”. Taką „siedzibę narodową”, która byłaby „w sam raz” dla nas, już nam ofiarowywano parokrotnie i jak dotąd świat podziwiał nas za to, że te propozycje odrzucaliśmy. Czerpano z nas nawet „natchnienie” z tego powodu. Cóż się zmieniło w ciągu tych pięciu lat? Czy to, że rząd brytyjski przeszedł — jak mówi „Observer” — „ewolucję od idealizmu do cynizmu?”

Może mamy w ogóle ustęp mowy Churchilla o Polsce rozumieć jako... polemikę z Sowietami? Taka interpretacja nie rzuca się w oczy od razu, ale jest możliwa. Zobaczymy, czy nie jest jednak zbytbytno nacągana. Churchill powiedział: „Zawarliśmy ze sprzymierzonym z nami Związkiem Sowieckim traktat dwudziestoletni i ten traktat jest podstawą naszej polityki”. Kto nie zajrzy do tekstu tego traktatu (a ktoż, zagląda do takich tekstów), pomyśli sobie, że przyjaźń z Rosją jest dla rządu brytyjskiego cenniejsza niż wiele innych rzeczy; kto jednak zajrzy, przekona się, że w artykule piątym traktat ten zabrania sygnatariuszom (a więc także Sowietom) „mieszania się do spraw wewnętrznych innych państw”. To może być wyrzut pod adresem Sowietów, że nie przestrzegają postanowień traktatu z Anglią i to może być także usprawiedliwienie się z powodu niedostatecznego nacisku na Polaków. Ale czy

(Dokończenie na str. 7)



Przy polskim dziele

wszystkim Niemcom” — powiedział nam świeżo Churchill. To prawda, nie on zawierał alians z Polską w sierpniu 1939 r., a gdy doszedł do władzy, Polskę reprezentowali już tylko emigranci — ale dlaczego zapomina, że „wszyscy Polacy” walczą przede wszystkim o Polskę, a wszelkie inne cele temu jednemu podporządkowują — nie dlatego, że taki jest ich dziwny upór, nie dlatego, że taka ich fantazja, ale dla tych samych powodów, dla których Winston Churchill nie chce być grabarzem Imperium!

Z Polakami można porozumieć się tylko przez układanie się z Polską — nie można ich wyzyskiwać wbrew Polsce lub mimo Polski. Churchill zdaje się wierzyć, że Polacy, z których w Rosji utworzono oddziały pod dowództwem sowieckim, mogą być na serio traktowani jako *inni* Polacy, że można przyjąć, iż bezprawna ingerencja obcego mocarstwa w sprawy wewnętrzne Polski, umożliwiają słabością i samotnością Polki — *dzieli* Polaków na tych, którzy walczą u boku sprzymierzonych we Włoszech lub słuchają w kraju rozkazów rządu londyńskiego i na tych, którzy „walczą z wojskiem sowieckim przeciwko wspólnemu wrogowi”. Kto bierze akcję *obcych agentów* za wyraz woli narodu polskiego, krzywdzi nas i wyrzwyja swój sąd o rzeczach. Polacy są *jedną myśl* i pragną tylko, by ich przyjaciele nie dopomagali ich wrogom do tworzenia wśród nich sztucznych podziałów. Taką próbą siania zamętu w ze-

in a jakich warunkach zechcą taki podarunek przyjąć. A wreszcie — Sowiety same dały wyraźnie do zrozumienia, że nie liczą się wcale z tym, by projekt ten mógł być urzeczywistniony.

Utrzymywano przez bolszewików Komite: „Wolne Niemcy” przemiliżał tą sprawę tak, jakby nie dotyczyła przyszłości Niemiec — a przecież w komitecie tym zasiadają generałowie Hitlera, konserwatyści i demokraci niemieccy, którzy gdzieindziej — np. w Anglii — podnieśli natychmiast protest, gdy Churchill po raz pierwszy z tym planem wystąpił. I co się okazało? Londyńscy „dobrzy Niemcy” dali się przekonać komunistom, że... protestu wnieść nie należy. Czy dlatego, że zostali przekonani o konieczności rezygnacji z Prus Wschodnich i innych ziem w imieniu Niemiec? Czy nie dlatego raczej, że ich przekonano o fikcyjności całej dyskusji? Kiedy Churchill po raz drugi te sprawy poruszył, Niemcy londyńscy — którzy poparli się tymczasem, jak dobrze zrozumiano w świecie ich poprzednią reakcję i jak złą przysługę oddali nią swojej sprawie — na znak protestu rozwiązali swój Komitet w Londynie. Ale już powstał nowy w Ameryce i znowu świat widzi, że „dobrzy Niemcy” grają komedię i kto tę komedię reżyseruje.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że sprawa powrotu do Polski ziem, zabranych nam w ciągu wieków przez Prusaków, nie ma nic wspólnego ze sprawą „odszkodowywania” nas za „korektury granic wschodnich”. Nie

Dr. TADEUSZ FELSZTYN

TRZECI WYMIAR w AKCJI DESANTOWEJ*

Jeżeli przyjrzymy się uważnie działaniu desantowemu, jakie przeprowadzono dotąd w tej wojnie, uderzy nas dziwna na pierwszy rzut oka rozpiętość ich zasięgu.

Na Oceanie Spokojnym, gdzie był to zasadniczy, przeważający typ walk, w tej specyficznej wojnie wyspiarskiej, desanty japońskie nosiły charakter skoku z wyspy na wyspę na odległości dość różne, od stosunkowo nie dużych, do działań bardzo śmiałych, w znacznym oddaleniu od baz własnych. Dla przykładu podajemy, że przy desancie na Filipiny długość skoku przekraczała 300 mil. Początkowa kontrakcja sprzymierzonych wykonywana była bardzo ostrożnie, na odległości niewielkiej, tak że obliczano nawet, ile to dziesiątek lat będzie trzeba, zanim drogą tą uda się im odebrać zajęte przez poddanych Mikada tereny.

W ostatnich czasach jednak obraz walk wyraźnie zmienił oblicze. Desant na Nowej Gwinej przekroczył 600 mil, na wyspach Marshalla nawet 1000 mil. Śmiałe dalekosiężne działania ziemnowodne weszły już na tym teatrze wojennym w sferę rzeczywistości.

Na innych teatrach miały one miejsce i poprzednio. Nie licząc drobnych, eksperymentalnych raczej wypadków commando na wyspy Norwegii oraz nieudanej wyprawy norweskiej w 1940 r. mieliśmy jednak skuteczny desant na Madagaskar, odległy od najbliższych baz morskich brytyjskich o conajmniej setki mil, oraz desant w Afryce północnej, gdzie konwój desantowy wykonał drogę znacznie przewyższającą 1000 milowy skok.

Z tą chwilą jednak na terenie śródziemnomorskim przerzuty desantowe stają się ponownie coraz krótsze. Z portów afrykańskich na Sycylię mamy co prawda 300 mil, nie należy jednak zapominać, że po drodze była poletna baza morska i lotnicza — Malta (która w desancie tym odegrała olbrzymią rolę), w odległości niecałkowicie 100 mil od najbardziej wysuniętego punktu desantu — Syrakuz. O skoku przez Cieśninę Messyjską nie warto nawet wspominać. Jest to niewiele więcej, niż przekroczenie szerokiej rzeki. Desant w Taranto odbył się prawie bez oporu nieprzyjaciela. Desant w Salerno sięgnął na blisko 200 mil od najbliższego lotniska, lecz mało tylko brakowało, by skończył się niepowodzeniem. Desant w Termoli i desant w Anzio odbyły się w odległości 50 do 70 mil od własnych stanowisk.

Czym wytłumaczyć tak wielką rozpiętość skoków przez morze? Przyjrzyjmy się nieco bliżej warunkom, w jakich desanty te się odbywały.

Desanty japońskie miały miejsce przy zdecydowanej przewadze morskiej (osiągniętej przez zdradziecki napad na Pearl Harbour) oraz lotniczej napastnika. — Flota amerykańska na tej części Oceanu Spokojnego nieomal że nie istnieje, a flota brytyjska, po stracie pancerników Prince of Wales i Repulse była w stanie wyraźnie niezłoczyć. — Lotnictwo amerykańskie, choć stosunkowo silniejsze od floty, było jedną* w tym czasie i na tym terenie znacznie słabsze od lotnictwa japońskiego. To samo odnosi się i do lotnictwa brytyjskiego, które podówczas z trudem dopiero poczęło sobie wywalczać przewagę nad lotnictwem „osi” na terenach europejskim, atlantyckim i afrykańskim.

Dopiero w miarę czasu: silny i zbytki rozwój lotnictwa amerykańskiego i błyskawiczna wprost budowa

lotniskowców doprowadziły do zdecydowanej przewagi powietrznej sprzymierzonych na Oceanie Spokojnym. Japończycy, rozproszeni na olbrzymiej przestrzeni i ponoszący coraz większe straty w walce z lotnictwem amerykańskim, nie mogli uzyskać przewagi lotniczej, nawet lokalnej, w ani jednym z ostatnich starć z Amerykanami.

Desant na Madagaskar odbył się przeciwko przeciwnikowi nieomal zupełnie pozbawionemu lotnictwa. Desant w Afryce północnej był tak doskonałym zaskoczeniem, że Niemcy nie zdążyli przerzucić swego lotnictwa na ten teren i że samolądowanie odbyło się zupełnie bez oporu z ich strony. Bliskość jednak baz lotniczych niemieckich, a odległość takich-że baz sprzymierzonych spowodowały, że po kilku już dniach przewaga lotnicza na tym terenie była wyraźnie po stronie „osi”, co nie tylko umożliwiło jej szybkie przetrzucenie znacznych sił dla obrony Tunisu, ale ponadto spowodowało, że przez pierwszych kilka miesięcy kampania tunijska toczyła się pod znakiem wyraźnej przewagi lotniczej „osi”.

Desanty na Sycylię i Włochy odbywały się co prawda przy znacznej przewadze lotniczej ze strony sprzymierzonych, przeciwko przeciwnikowi jednak, który może w razie potrzeby skupić — na ograniczonym terenie — swoje lotnictwo do skutecznej kontrataki.

W tym właśnie tkwi cała tajemnica tej silnej rozpiętości zasięgu działań desantowych.

Oto po prostu desant morski możliwy jest tylko wtedy, gdy strona nacierająca ma zdecydowaną przewagę w powietrzu.

Przed wszystkim bowiem trzeba osłonić konwój morski, aby uniemożliwić, lub przynajmniej utrudnić lotnictwu rozpoznawczemu nieprzyjaciela jego wykrycie, a tym samym zapewnić tak ważne dla powodzenia desantu zaskoczenie.

W czasie lądowania lotnictwo musi zastąpić — w części przynajmniej — swymi bombami brakującą artylerię naziemną oraz zapewnić możliwie zupełnie bezpieczeństwo od ataku z powietrza lądującym jednostkom, zwłaszcza zaś wyładowującym się na brzegu czołgom i ciężkiej broni wsparcia.

W dalszej fazie walk długo jeszcze wsparcie lotnicze zastępuje — wraz z artylerią okrętową — napływająca dopiero artyleria naziemna, podczas gdy myśliwce muszą stworzyć parasol osłaniający — i to osłaniający skutecznie — delikatny mechanizm wyładowywania od ataków lotnictwa wroga. Uszkodzenie bowiem nadbrzeży, czy urządzeń portowych, zatopienie statków, czy baraków, przerwy w pracy wyładowczej spowodowane częstymi nalotami — wszystko to może przeciąć, lub co najmniej niebezpiecznie zwięzić ów strumień zaopatrzenia i posiłków, którego konieczność sprawnego i nieprzerwanego działania szeroko uzasadniliśmy w artykule p. t. „Z morza na ląd”.

W tych warunkach więc bez przewagi lotniczej nie może być mowy o powodzeniu desantu. Jaskrawym tego przykładem może być już wyprawa norweska w 1940 roku, kiedy to wielokrotnie silniejsze lotnictwo niemieckie poważnie utrudniło lądowanie posiłków sprzymierzonych w południowej Norwegii, rozstrzygając tym samym całą kampanię na korzyść Niemców.

Nie wystarczy jednak mieć przewagę tylko bombardowców. Najsilniejsze bowiem skutnienia bombowe, któ-

re by wykonyły nie wiedzieć jak piękna praca wsparcia odziałów na lądzie, nie będą mogły uchronić wojsk na ziemi, a zwłaszcza wojsk lądujących i wyładowujących się od ataków powietrznych przeciwnika, a tym samym zapewnić im — spokojnej pracy. Konieczna więc jest przewaga — i to zdecydowana przewaga myśliwców.

Nie sama jednak ilość myśliwców po obu stronach jest tu czynnikiem decydującym. Weźmy dla przykładu, że jedna strona ma myśliwce swe na bazach tak odległych, że zapas paliwa zezwala im zaledwie — po odliczeniu czasu na lot z lotniska na teren desantu i z powrotem — na pracę nad samym terenem walki przez przeciąg zaledwie 15 minut. Niech odległość lotnisk strony drugiej będzie natomiast taka, że efektywny czas walki nad terenem desantu wynosi dla niej godzinę. Jasne jest, że ta ostatnia strona będzie miała równowagę w powietrzu, mając zaledwie ćwierć tej ilości myśliwców, co strona przeciwna, a przy połowie maszyn będzie miała na terenie walki przewagę dwukrotną.

Odległość baz lotniczych od terenu desantu gra więc rolę decydującą dla zapewnienia skutecznej osłony powietrznej.

Tam więc, gdzie nieprzyjacieli ma na lądzie rozwiniętą sieć lotnisk, umożliwiająca mu szybkie przetrzucenie dużej ilości myśliwców na zagrożony desantem teren, strona przeprowadzająca desant może dokonać skok na taką tylko odległość, która by nie oddalała sił lądujących zbyt od własnych lotnisk i lądowisk, zapewniając w ten sposób własnemu lotnictwu myśliwskiemu decydującą przewagę nad terenem lądowania.

Ci, którzy uważnie śledzili sprawozdania korespondentów wojennych z walk pod Salerno, zauważyli niewątpliwie, że — mimo znacznej przewagi lotniczej sprzymierzonych w basenie śródziemnomorskim — nad samym rejonem Salerno przewaga w powietrzu była przez czas pewien w ręku Niemców i ten to właśnie okres był momentem krytycznym desantu, który o mały włos nie zakończył się klęską sprzymierzonych.

W tych więc warunkach zasięg desantu to kwestia kalkulacji, uwzględniającej ilość myśliwców, które tak nieprzyjacieli, jak i my możemy skierować na teren planowanego desantu, ich zasięg (uwzględniając pewną rezerwę paliwa na wszelki wypadek), oraz odległość i ilość baz lotniczych w terenie najbliższym desantowi. Tam gdzie trzeźwa kalkulacja nie wykaże możliwości uzyskania zdecydowanej przewagi w powietrzu, desant jest niepowodzenia i krwawych strat. Jak bowiem słusznie wielokrotnie podkreślał gen. Montgomery, bez wygrania bitwy w powietrzu nie można wygrać bitwy na ziemi.

Zapewne, w miarę powodzenia desantu, położenie strony nacierającej się poprawia. Na zdobytym terenie urządzi się lądowiska i lotniska, co znakomicie skracca odległość baz lotniczych i wielokrotnie zwiększa efektywną siłę osłony powietrznej. Ale z jednej strony założenie lotnisk wymaga czasu i wysadzenia na ląd różnorodnego sprzętu i maszyn, z drugiej zaś szupłość terenu pierwotnego przyczynka uniemożliwia szeroko rozbudowę sieci lotnisk. Toteż okres pierwszych kilku dni lądowania w skromnej tylko mierze pozwala na korzystanie z lądowisk na terenie zdobytym. A dla powodzenia desantu jest to okres decydujący.

Pewnego rodzaju surogatem lotnisk i lądowisk może być lotniskowiec. Lecz trzeba uwzględnić, że przed wszystkim samolot startujący z lotniskowca z natury rzeczy ma cechy bojowe niższe, niż tej klasy samolot startujący z lądu. Ponadto, jeżeli nieprzyjacieli ma na lądzie w pobliżu miejsca planowanego desantu szeroko rozwiniętą sieć lotnisk, to ilość samolotów, jaką on na lotniskach tych zdoła w razie potrzeby skupić, może okazać się tak wielka, że stojąca do dyspozycji ilość lotniskowców będzie niedostateczna dla zapewnienia przewagi w powietrzu.

Oto są raczej zasadnicze, ograniczające zasięg desantu na tych teatrach operacyjnych, gdzie nieprzyjacieli ma szeroko rozbudowaną sieć lotnisk i silne odwoły lotnicze.

Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa na Oceanie Spokojnym. Tam rozproszenie sił japońskich jest tak znaczne, a odległości pomiędzy poszczególne bazy lotnicze tak duże, że dla wykonania desantu w pewnym miejscu wystarczy przewieźć na lotniskowcach ilość samolotów taką, która by w chwili desantu zapewniała zdecydowaną przewagę lokalną. Przewaga ta, raz zdobyta, uniemożliwia stronie przeciwniej szybkie przetrzucenie myśliwców z baz odległych, a tym samym zapewnia bezpieczne przeprowadzenie desantu aż do chwili założenia na zdobytym terenie odpowiedniej sieci lotnisk.

Początkowe błyskawiczne sukcesy japońskie okazały się więc dziś źródłem ich słabości. Olbrzymia bowiem przestrzeń, jaką muszą oni opłacać swym lotnictwem, uniemożliwia im utrzymywanie silnych skupień lotniczych wszędzie. Tymczasem naziści, jak i Stanach Zjednoczonych potężno na budowę lotniskowców dając Amerykanom możliwość przetrzucenia wielkiej stosunkowo ilości myśliwców na dowolne nieomal miejsce Oceanu Spokojnego. W tych więc warunkach Amerykanie mogą zawsze uzyskać w zamierzonym miejscu desantu silną lokalną przewagę w powietrzu, co zapewnia im możliwość wykonywania desantów na odległości tak znacznej, o jakich w warunkach europejskich nawet i marzyć nie można.

Niektórzy pisarze wojskowi widzieli w ostatnich sukcesach desantów amerykańskich na wyspach Marshalla dowód, że okres powolnego przechodzenia z wyspy na wyspę na Oceanie Spokojnym już minął i że wkrótce szerokimi skokami uda się Amerykanom przemieścić wojnę pod same brzozy Japonii. Zapewne, prorokowanie w czasie wojny jest zawsze zawodne, nigdy bowiem nie zna się ani zamiarów stron, ani ich przygotowań technicznych. Nie mniej jednak natarcie na Japonię przy pomocy tego typu działań wydaje mi się wątpliwe. Najniebezpieczniejszą rzeczą w sprawach wojskowych jest wnioskowanie przez analogię, bez wnikiwania w istotne przyczyny. Z faktu, że dalekosiężny desant udał się w odległości około dwu i pół tysiąca mil od Japonii nie wynika jeszcze bynajmniej, że podobne działania udałoby się w bezpośrednim jej pobliżu, gdzie skupienia baz lotniczych i możliwość szybkiego przetrzucenia myśliwców z miejsca na miejsce stwarzają olbrzymią przewagę obrońcy nad nacierającym, nie mającym tak bliskich baz. Fakt ten może się w przyszłości poważnie odbić nie tylko na strategii Stanów Zjednoczonych, ale również i na posunięciach wojskowo-politycznych zarówno ich samych, jak ich partnerów i ich przeciwników.

* Por. Nr. 102 „Orzeł Biały” z dnia 14. V. 44 „Skok przez słoną wodę”, oraz Nr. 103 z dnia 21. V. 44 „Z morza na ląd.”

Z POEZJI ŻOŁNIERSKIEJ

Wiosna w Apeninach

Przynoszą nam tę wiosnę pijane zakręty,
Idziemy przez tę wiosnę w zakurzonych wozach,
I niesie nas w nią złoty wodospad serpenty —
a dzikie róże pachną w błękitnych wozach.

Do nocy pełnej huku, spalonej błyskami,
podechodzi do nas w ciszy pachnących pomników
czerwień polskich maków i biłą rumianków,
liliowe szczyty srebrząc tiulowymi mgłami.

O zmiernych, gdy się wieczór gwiazdami uśmiecha,
gdy dzwoni deszcz słowików pod niebem z bławatów,
mnie szczęściem na krótko — i zaraz ucieka,
spłoszona krokiem wojny i werblem granatów.

... Nad namiotem schyłone szesześć akacje.
Wieczór pachnie wspomnieniem i dziwnie jest bliski...
Tylko potem na niebie padają pociski —
jak gwiazdy... jak wojenne nowe konstelacje.

Wiosno Boticelli'ego, o wiosno malarzy!
Nie potrafisz nam oczu zastąpić swym niebem,
runąć w serce zachwytem i złagodzić twarzą...
Serca biją dziś walką, i zemstą, i gniewem!

Nie potrafisz nas wstrzymać w muzycznych wozach
zapachem róż, pejzażem balladowej nocy —
pojedziemy znów dalej w zakurzonych wozach
po wiosnę, która czeka nas w gwiazdach Północy.

I tylko tak serdecznie, tak zwykle, najprościej —
tych, którzy tu zostaną i nie pójdą z nami
okryj jasnym swym niebem i obsyń różami —
bo byłaś dla nich wiosną idącą wolności...

Janusz Wedow

Wojna

To mogłyby być Tatry,

A tam tak — jak Dunajec...

Na Gorcach kwitną kwiaty,

A w Tatrach jeszcze śnieg jest.

Kukułka, wiatr i zieleń

— Zieleń ubogiej ziemi —

I w górach to dudnienie:

Purpura burz się mieni.

Percię zdążają ludzie,

Tacy jak ziemia wieczni,

Wojna ich nie obudzi.

Wojna z kościelnej pieśni.

Powietrze, głód i ogień

Żywioty jednej wojny —

A wiosna znów się rodzi

W czerwieni maków polnych.

Jan Bielawicz

Rozmowa z księżycom

Ech, włościwie —
darmo chcesz z ziemią się szwatać;
— w butelkę cię kiedyś nabiją
dyplomaci z mojego świata.

Flirt twój niebieski
rozsmiesza mnie do rozpuku,
jak humoreska,
— prowincjonalna sztuka.

Bo — poco się chylić ku ziemi,
skowo i tak masz za blisko,
żeby to wszystko wytrzymać,
żeby zrozumieć to wszystko. —

— I poco kradzionym masz światłem
szukać igły w mrowisku?
— Uciekaj stary, bo natok,
bo gupie tu kołotwisko.

Zresztą — możesz się włościwie.
Ty się w wędrówce nie zellisz
i może mnie kiedyś naucysz,
jak trzeba iść się po piekle...

Pójdziemy kiedyś we dwojgę
— mistrzu z szczeniakiem na ziemi
i nagle zaczniemy bójkę
z planetami innymi.

Bo ty się umiesz zaknadać,
a ja — rozbijać po świecie;
akurat to, co wypada
zwariowanemu poecie.

Józef Żywina

ŚCIEŻKI (3)

Święty pisarz lotnik Antoine de Saint-Exupéry, autor znanego w Polsce w tłumaczeniu „Nocnego lotu”, wydał w Nowym Yorku w 1942 roku książkę p. t. „Pilote de guerre”. Jest to opowiadanie o jednym locie nad Arras i kanałem Alberta w okolicy, gdy nawała niemiecka szła przez Francję. Książkę swoją poświęca swemu towarzyszy, wszystkim kolegom grupy lotniczej 2/33 i najbliższym współpracownikom, z którymi ułaski miał w akcji, w walce wówczas beznadziejnej z lotnictwem niemieckim, przegmatującym w ich stronę nieostojowe nagle siły lotnictwa francuskiego. Pisarz łączy w sobie zalety charakteru zlewka, który w chwili tragicznej potrafił nie tylko obserwować, ale rzucić na żalę i swoje własne życie, z cechami wielkiego pisarza: bystrą obserwacją, autoanalizą, wziętą formą bez śladu „waty” frazologii.

Wśród bardzo wielu wspomnień, spotrzeń i myśli, które przepływają mi przez mózg w godzinach lotu, na który swiadoma i sobie jasno) zostałem wysłany — prawie na stracenie, jest parę zdań, które podają w tłumaczeniu. Saint-Exupéry wie, że walka, którą prowadzi wojsko francuskie, jest już przegrana, że jego wyład lotniczy nie ma żadnego sensu, bo aden sztab już nie wyszka tego materiału i obserwacji, które lotnik zobowiązuje przy tym czuje i wie, że wbrew rozumowaniu, wbrew pokusie porzucenia bez nadziei walki, biec się będzie do końca.

„Znam tę pokusę. Wiem nu czym ona polega, tak samo jak gąbiny był jednym Ojcem Kościoła. Być kuszonym, to jest być kuszonym wleki, kiedy duch spł, być kuszonym argumentem rozsądku.
Poco mam zwyciężać życiem w tym „sawaniu się z gory. Nie wiem. Mówię o mi sto razy: „Niech pan się da przyemderowac nu cieżym ton. Tam jest podobnie miejsce. Pan tam będzie pożyczycielny niż w dywizjonie. Pilotów można wyzdolnić tygiac...” Rozumowanie jest „rodinotatne. Wszystkie rozumowania są „rodinotatne. Moja inteligencja je uznawła, ale mój instykt przeważał inteligencja.

Diaczoż to rozumowanie wyduwało się jakby luzownicze, kiedy nie mam mu nic przetrzasnąć? Mówłem sobie: „Intelektualiści trzymają się w chwach propagandy. Na to, by je zjedować po wojnie...”. To nie była odpowiedź. Dziś już jeszcze, tak jak moi koledy, spieciadem przeciwko wszelkim rozumowaniom, contre toutes les évidences, przewo wszelkim reakcją chwili. Przywo godzinna, kiedy zrozumieć, że nitu rucję przeciwko rozumowi.”

To, co pisze Saint-Exupéry, dotyka nas bliziej. W ostatnim „Orle” mamy stroni-posepioną poezji żołnierskiej. Jest ławiczka, Olechowski, Żywina, Międzycki, jest artykuł Grudzińskiego nie ma-

jący nie wspólnego z wojną, pomimo że właśnie w polu i w okresie walk o Cassino został napisany, podobnie jak większość tych wierszy.

I właśnie fakt, że ci żołnierze rozumują tak samo jak St. Exupéry i chcą być jednocześnie i pisarzami i ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu, że pamiętają o tym, że „przeklety, który nie wie płaci” i w takiej chwili płac wszystkim — to daje strony literackiej „Orla” specjalny kolorysty i akcent.

„I stąd najlepszym Cezar historykiem Który dyktował z konia nie przy biurze I Michał Anioł, co kuł sam w marmurze” — pisze Norwid w „Promethidionie”. I w tym — że „Promethidionie”:

„Bo miłość strachu nie zna i jest śmiota Choc wie, że kosać musi, jak kosać; Choć wie, że krzyżow za soba podciąga Pięk, jak wianuszki arkad wocioga I, że przepływie krwią do kuskad

„Wieloznaczny Czerwieńwiejący w otchłaniach ser- „Wieloznaczny I wszelka miłość bez wietelna. Jest upiornym myśleniem myślenia...”

Wymowy tej nie wolno nam lekceważyć. Jest to postawa w-bec życia, wobec zadań życia, wobec Ojczyzny — w Polsce prawie ogólna, z której niedługo pokole nie literackie, artystyczne próbowało się wydłamać idąc w ślady zwycięskich artystów Europy zachodniej, ale znów i znów wracowało z powrotem w dawny mit. Wracowało wiedzione wewnętrznym instynktem, muzeum wewnętrznym.

Bracia Goncourt opisują w jednym ze swoich „Dzienników” Flauberta przyjeżdżającego do zembardowanego Paryża w 1871 roku, po klęsce i w chwili gwałtownych walk domowych. Flaubert przyjeżdża przewyżczając same trudności jedynie dlatego, by sobie wypisać pewne materiały do „Salambo” w Bibliothéque Nationale; Cézanne, gdy go spytano, co robił w 1871 roku odpowiedział spokojnie — „malowałem pejzaż w Estaque”

O wyjątkowości w służbie sztuki marzył nawet Żeromski w „Snoibizmie i postępie”, wydanym w pierwszych latach niepodległości Polski. Wierzył, że teraz narecznie postawa taka będzie i dla polskiego artysty możliwa. O taką postawę walczył niedługo z nas w okresie Polski niepodległej. Ale dziś gdzie mamy szukać materiału jak Flaubert, kiedy nasze „Bibliothéques Nationales” są spalone i rozgrabiane, kiedy

... „w naszym mieście, które paniętasz z dalekich dni, krzyże wyrosły, krzyże i cmentarze, świeże od krwi...”

„Zgubiła się Ojczyzna w ścieżce Nie odnajdziesz tu pieśni i spiewu, Trzeba znówu w dziejowej zamieci Krwawo odznaczyć granice i ziemię”.

Gdzie mamy malować jak Cézanne, kiedy każdy z nas „widział w świetle gromów najkrwawszą, świętą Kalwarię”.

Żeromski w pięknym odczycie z 1915 roku pisze właśnie o losie polskiego artysty, daje przykłady jak oni wszyscy wcześniej czy później są wrznięci w sprawę narodową. Nawet ci co jak Stanisław Witkiewicz walczą zaciekłe i świetnie tylko o formę, w sztuce zaniebdbaną, szanbioną przez wielu artystów drugiej połowy XIX wieku, którzy samym tematem, samą propagandą narodową chcieli zastąpić tworzywo artystyczne — formę, kulturę artystyczną i którzy tym właśnie się różnili od Słowackiego, Mickiewicza, Norwida, czy Chopina, bo ci ostatni będąc głęboko narodowymi nigdy samego tworzywa nie lekceważyli i osiągnęli przez to szczyty formy literackiej, czy muzycznej.

Przecie i Przybyszewski, arcykaplan „czystej sztuki”, pod koniec życia walczył o szkołę w Gdańsku i inne sprawy społeczne, przecie nawet Wyspiański związany jest w początkach z „Życiem” Przybyszewskiego, a kończy „Weselem” i „Wyzwoleniem”.

Jeżeli jednak chodzi o fragizm artysty, który stracił oczy, to przykładem jakimś jest los Mickiewicza, który na emigracji pisze dalsze części „Dziadów” i mówi, że chciałby z nich zrobić jedną książkę godną czytania. Mickiewicz, który zakazuje sobie pisania na emigracji, łamie pióro i pemimo to ulega od czasu do czasu i wleży ze skrwiałymi, z pocmieniem wyciorzy, który wyjeżdżając do Konstancynopola w 1855 roku zostawia synowi skrzynię rękopiśm, a więc na pewno i ten niezno-ny ciąg dalszy „Dziadów” i łazę całą zawartość spalić, bo uważa, że w chwili ówczesnej nie warte są poezje czytania. (Po-słuszny syn pali te skarb). Mickiewicz jadąc na Wschód, by po zakamaniu się niedułej próby tworzenia legionów we Włoszech w r. 1848 przeciw Austrii współdziałał w tworzeniu nowego legionu, ale przeciw Rosji i goździł generała na służbie angielskiej hr. Władysława Zamojskiego i dowodzę koraków sułtańskich Sadyka Paszę Czajkowskiego, pisze w jednym z listów, że może ci młodzi Polacy, którzy się wleczą po salonach paryskich zawstydzają cię, kiedy zobaczą, że ja stary jadę na Bałkany”.

Rozdarcie między człowiekiem bezpo-sredniego czynu a genialnym poetą może nigdzie w literaturze nie było bardziej głębokie i bolesne. Przybyszewski napisał zdanie nieodpar-te, które Stanisław Witkiewicz uzyl jako motto do jednej ze swych książek (o Gierymskim):

„Pisarz nie pisze tego co chce, ale to co musi.”

Pisarz również żyje nie tak jak chce, ale tak jak musi, a mus pisarza bywa bardzo różnoraki.

Na ten sam składają się motywy, których często wyrozumować nie jest w stanie, które są nawet wbrew jego rozumowa-niu. I jakże trudno wyduwać pod sznur-tek sąd, że artysta postępuje tak lub inaczej postępować, kiedy w naszej genea-

logii polskiej mamy Mickiewicza, który złamał pióro, mamy Norwida, dla którego sztuka i życie, sprawy formy i sprawy polskiego sumienia były na tyle zróżnione, że zawsze, do końca, nie słuchany przez nikogo, był on w poezji swojej i w prozie sumieniem i światłością najgłębszą narodu, który go wówczas znać nie chciał, a dziś zna go zaledwie od strony najbar-dziej łatwej, i nie zawsze najistotniejszej.

Mamy Michałowskiego, chyba największego naszego malarza XIX wieku, który by może na świat cały zabłysnął jak Chopin w muzyce, gdyby wyłowca poprzez malarstwo służył krajowi, ale na laty pracę porzucał dla „wybitnej służby społecznej” (był między innymi prezesem Kra-kowskiej Rady Administracyjnej), mamy Matejkę, który mówi o sobie, że maluje nie ink, jak rozumie „warunkii artystycznej doskonałości”, bo chodzi mu o rzeczy ważniejsze.

Mamy również syna zesłańca Conrada, który opuścił Polskę, tkuł się po wszyst-kich morzach, pisał po angielsku, którego Orzeszkowa w swoim czasie zdyskwali-fi-kowała moralnie, prawie jako zdradca, a który przez Żeromskiego został wpro-wadzony do Polski jako wielki pisarz polski. Właśnie w okresie niepodległości, kiedy cała nasza literatura od Mickiewicza do Wyspiańskiego mówiła o jednym, o zdobyciu niepodległości, stała się jakby tematycznie nieaktualna (wrocła ona dziś do nas przez nagry i zielone granice, rów-nie bliska jak w chwili powstania), a wtedy Conrad właśnie stał się dla wielu z nas pisarzem najbardziej potrzebnym i tak bardzo polskim.

Dziś stronie literackiej „Orla Białego”, tomiki poezji żołnierskiej, antologja poezji żołnierskiej redagowana przez Bielawic-zką, która jest w druku — świadczą, że młodzi artyści polscy poszli drogą własną — nie śladami Mickiewicza, który uważał za swój obowiązek wobec Polski łamać pióro na emigracji, nie drogą Matejki ani drugą Conrada. Próbują oni iść ścieżką najtrudniejszą. Nie uchylać się przed żąd-nością oliara, która niesie nakaz chwili i jed-nocześnie pisać, tworzyć dzięki z całą mi-łością rzemiosła i zrozumieniem dla for-my, dla pracy nad formą, która jest istotą pracy twórczej, wiedzeni głębokim instynk-tem czują, że im nie można zrywać tego związku, że zrywanie go grozi nam zerwa-niem naszej ciągłości kulturo-tworczej, że możemy wówczas zagubić Polskę.

Ta młodsze literacka, ci intelektualsi, młodzi muzycy, malarze, uczeni, którzy wszyscy poszli do wojaka spełniając jak wszyscy sumieniem, a także często po boln-terku swój obowiązek żołnierski, starają się jednocześnie utrzymać, nie zagasić pmo-nyka kultury polskiej, który noszą w sobie w dzisiejszej zawierusze, chcą ten święty ogień przewiezić z powrotem do Polski. Tym ludziom właśnie i im podobnym mo-że zawdzięczać będziemy ciągłość i wiel-kość kultury polskiej, sztuki polskiej, która jest świadomością naszego życia.

Marek

FRANCISZEK CZERWISKI

Zdobycie Passo Corno — 893

W dniu 19 maja 1944 r.

Quia Martem tunica tectum adamantina
Digne scripsit? Aut, pulvere Troico
Nigrum Merionem, aut ope Palladis,
Tydiden — superis parem. *)

(Horacy — Oda do Varusa)

I

W historii działań 2. Korpusu we Włoszech zdobycie przez ułanów Karpackich wzgórza 893 z kompleksu Passo Corno będzie zajmowało miejsce odrębne. Składa się na to szereg czynników. Przede wszystkim jest to najwyższe wzniesienie zdobyte przez Polaków w tym okresie. Dla porównania przypomnijmy, że Mass Albant wznosi się 567 m nad poziom morza, Colle San Angelo 585 m, a samo Monte Cassino 519 metrów. Passo Corno przewyższa te pozycje o około 300 metrów.

Następnie Passo Corno jest to pozycja z linii Hitlera. Broniona jest potężnym ogniem bocznym ze zbocza góry Cairo, która odminuje nad Passo Corno. Otóż w chwili, kiedy nasi ułani nacierali na Passo Corno, nie było natarcia na całość linii Hitlera, tak jak uprzednio odbywało się natarcie na całość linii Gustawa. Dlatego wszystkie środki ogniewo-przeciwnika z lewego skrzydła linii Hitlera koncentrowały się na nacierającym szwadronie. Wszędzie — last but not least — akcję wykonała broń droga sercu każdego Polaka — kawaleria. To tłumaczy ten charakter zacięty, tę wariacką jak godyby furję bojową, którą opanovała walcząca, a którą będziemy się starać choć w części oddać poniżej.

Pewien pułkownik angielski wyrażał niedawno oburzenie, że kiedy przedstawiano dziennikarzom amerykańskim na Monte Cassino przebieg działań, które doprowadziły do zajęcia góry klasztornej, jeden z nich nagłe zapytał: Ile cali kwadratowych powierzchni miała flaga polska zatknęta. Na klasztorze? Człystelnik nasz może mieć podobne zastrzeżenia, naszym zdaniem nieślusne. Materiał do historii operacji znajdzie się w komunikatach informacyjnych i w dziennikach działań. Zadaniem reportera jest uchwycić szczegóły, który inaczej zapadnie w mgłę niepamięci, a bez którego przyszłość nie będzie mogła wytworzyć sobie prawdziwego obrazu tych wielkopomnych wydarzeń.

Oto szereg relacji uczestników akcji pod Passo Corno.

II Dowódca pułku

Aczkolwiek poznańczyk, dowódca pułku wspaniale reprezentuje tradycje historyczne kawalerii polskiej. Jeden z antenatów jego rodu odgrywał znaczną rolę w szarży pod Samosierą w 1808 roku. On sam ma za sobą natarcie pod Suchowolą i kampanie libijską z ułanami karpackimi. Rozmawiany we wszystkim co kawalerskie, ciężko znosi przypomnienie, że sam kiedyś skończył pouchorzówkę piechoty i że najlepiej w pułku — defiluje na piechotę...

— Jakie były problemy dowodzenia pułkiem w dniu zdobycia wz. 893?

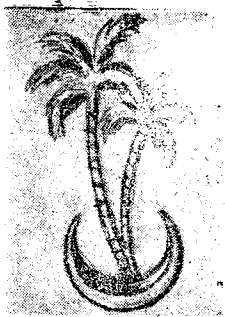
— Borykałem się z trzema najważniejszymi zagadnieniami: z rozwiązaniem natarcia w związku z ogólnym zadaniem obronnym pułku, z zagadnieniem łączności i przede wszystkim z zagadnieniem zaopatrzenia.

Aż do 19 maja zadaniem pułku była osłona prawego skrzydła Korpusu. Natarcie na Passo Corno nie służyło prostopadle, ale równoległe do naszych pozycji obronnych, które dzięki temu

*) Któż godnie opisze Marsa, odkrytego zbrojnie do przebiecia?

Albo też Dionedesa, czarnego od kurzu trojańskiego, czy Medoneda, z łaski Pallady, równego bogom.

zostały dwukrotnie wydłużone. Linia komunikacyjna łącząca źródła zaopatrzenia z walczącym szwadronem biegła niczym nie osłonięta wzdłuż pozycji npla na górze Cairo i pod ciągłym ogniem. W związku z tym musieliśmy zdecydować się na wyciągnięcie prawie wszystkich mych sił z odzinka obronnego i użycia ich dla zaopatrywania walczącego szwadronu. Było to duże ryzyko, które umniejszała życzliwa pomoc sąsiadów — alianta zaprzyjaźnionego jeszcze z czasów libijskich z prawej i bratniego pułku ułanów Poznańskich z lewej.



(Rys. H. Węclawowicz)
Odznaka

Zagadnienie łączności zdawało się niestrudne ze względu na linie telefoniczne i ze względu na radiostacje znajdujące się w posiadaniu pułku. Potworny ogień, w którym znalazł się szwadron nacierający, spowodował jednak wkrótce rozbiście środków łączności i wybiecie ich obsługi. Jako jedyna łączność pozostały mi własne nogi. Używszy ich mogłem się przekonać, jak bardzo ciężkie było zaopatrywanie szwadronu. Na połowie drogi byłem szalenie zmęczony, choć szedłem bez ciężaru. I pomyśleć sobie — dodaje wzdychając major — że w Persji wyszedłem na wysokość 3.000 m nad poziom morza.

Zaopatrzenie było zadaniem ponad siły ludzkiej. Różnica poziomu między miejscem, z którego szwadron wyruszył, a zdobytym wzgórziem wynosi około 800 m. Odległość — przeszło 3 mile. Teren na przeważnej części drogi wygląda w ten sposób, że co kilkadziesiąt metrów trzeba przebywać taras, wznoszący się 4 lub 5 metrów prostopadle do góry. Tą drogą żadne muły przejść nie mogą. Całe zaopatrzenie odbywało się ludzmi. Aby znieść jednego rannego, potrzeba było 8 ludzi i około 3 godzin czasu, jeszcze gorzej było z onoszeniem amunicji. Same c.k.m.y szwadronu walczącego wystrzelały około 29.000 pocisków. Skrzynki trzeba było wносить linami do góry.

Do tego akcja była początkowo pomysłana jako zajęcie Passo Corno i Monte Cairo, jeżeli nie są obsadzone, albo jako wypad, tzn. zdobycie terenu i natychmiastowe wycofanie się. W takim wypadku zaopatrzenie nie odgrywa tak wielkiej roli. W trakcie wypadków działanie przemieniło się jednak w regularne natarcie, przewidujące pozostanie na miejscu zdobytym. System zaopatrzenia trzeba było improwizować rzucając do tej pracy prawie cały pułk.

Teraz — mówi dowódca pułku — niech pan pomówi z rotmistrzem, który prowadził natarcie i stał się bohaterem dnia.

III Dowódca natarcia

Już pierwszy rzut oka na fizjonomię rozmówcy, dowódcy 3 szwadronu ułanów Karpackich, upewnia nas co do jego zasadniczej cechy du-

chowej, rozstrzygającej o losach dnia. Mamy na myśli niczym nie poruszony spokój i cpanowanie nerwów.

Jak w ogólnych zarysach przedstawiał się przebieg wydarzeń?

Szwadron — rozpoczyna swe opowiadanie rotmistrz — który objąłem zatop na Tobruku, zajmował stanowiska obronne w centrum ugrupowania pułku. Rano 19 maja otrzymałem zawiadomienie, że tego dnia po południu mamy zajęć Passo Corno i Monte Cairo, jeżeli są nie obsadzone, albo w innym wypadku zdobyć wzgórze 893 z kompleksu Passo Corno. W przewidzianiu, że te góry są już nie obsadzone, otrzymałem polecenie, by zabrać dużą flagę biało-czerwoną i zatknąć ją na szczycie góry. Przeniesieniem jej miał się zająć ksiądz kapelan.

Zdaje mi się, że większość ułanów kłęba na czym świat stoi, gdyż wyrwanego nas ze snu po całonocnej służbie. Nie będę opisywał trudności do marszu, powiem tylko, że sam nie miałem amunicji do moździerza dwucalowego. Trzyczęść szwadronu stanowili 17 letni chłopcy ze szkół junackich w Egipcie. Widziałem, jak rzedli po drodze i jeden drugiego zwał wodą z manierki. Miałem ze sobą 70 ludzi, 2 moździerze dwucalowe, cztery karabiny maszynowe amerykańskie „Browning” i 8 karabinów „Bren”. O godzinie w pół do drugiej wyruszyłem z okolicy stanowisk drugiego szwadronu pułku prowadząc ze sobą obserwatora artyleryjskiego, podch. Zawistowskiego. Już 10 minut po wyjściu w „Nemansland” dostałem się w zapórę ogniewą moździerzy. Ciężko ranny został jeden z moich oficerów, idących wdy na czele dwu ułanów. Podziwiałem tego oficera. Miał on przeciętnie tężnie w udzie, ale nie nie stracił ze zwykłego humoru i mijając mnie kiwał ręką i wołał „by, by”. Od tego czasu aż do chwili bezpośredniego szturm, tzn. przez blisko dwie godziny, znajdowaliśmy się pod ciężkim ogniem artylerii i moździerzy. W wolnych od posuwania się naprzód chwilach starałem się za pomocą obserwatora paraliżować środki ogniewo nieprzyjaciela ogniem własnej artylerii. Pomimo jej barzo skutecznego działania, wszystkie dalsze zarządzenia i decyzje wydawał mi się w istocie zawierusze ogniewej.

Dalszy przebieg wydarzeń będzie podany w relacjach szczegółowych. Teraz tylko ogólny bilans działania. Nasze straty wynosiły tego dnia łącznie kilkunastu zabitych i kilkadziesiąciu rannych ewakuowanych. Wszyscy pozostali moi żołnierze byli lekko ranni i pozostali w szwadronie. Wzięliśmy 24 jeńców — w tym jednego aspiranta i zabiliśmy około 30 Niemców. Ilość rannych nieprzyjaciół nie jest mi znana. Sądzę jednak, że z całą pewnością zniszyłem jedną kompanię czwartego samodzielnego batalionu korskiego. Około 12 godzin po rozpoczęciu akcji, na rozkaz dowódcy 1 tygady, powróciłem na dawne stanowiska obronne pozostawiając ułanom Poznańskim pieczę nad zdobytym wzgórzem.

— W jaki sposób pan rotmistrz radzi nam zapoznać się ze szczegółowym przebiegiem wydarzeń?

— Najlepiej zrobić to chronologicznie. W czasie szturm u zdobywalismy najpierw prawe skrzydło umocnień nieprzyjaciela, potem centrum, wreszcie lewe skrzydło. Pożniej przyszła kolej na drugą linię. Nuch pan koljno przepytaj dowódcę natarcia na prawe skrzydło, ppot. Kurowskiego potem ja panu opowiem o centrum a wreszcie mój zastępca por. Popiel o lewym skrzydle i o drugiej linii.

IV Prawe skrzydło umocnień

Po zranieniu dowódcy plutonu wsparcia — zaczyna swoje opowiadanie młody, pełen werwy podporucznik — objąłem dowództwo nad dwoma plutonami, które szły w pierwszej linii i wydałem rozkaz, aby szybko przeskoczyć zapórę moździerzy. W dalszej drodze na 893 szwadron rozwinął się w ten sposób, że moje plutony stanowiły lewe skrzydło, rotmistrz z počtem centrum, a jego zastępca z dwoma plutonami — prawe skrzydło. Ponieważ ja byłem uprzednio na czele, więc teraz wysunąłem się nieco naprzód, zwłaszcza iż jestem wytrenowany w chodzeniu gdyż notorycznie nie mogę usidzić w miejscu. Biegłem więc do góry kilkadziesiąt metrów przed moimi plutonami, za mną sapiąc okropnie na dęzali dwaj podoficerowie, po cztery reszta mego wojska. Biła na nas artyleria niemiecka, moździerze i broń maszynowa ze stoku góry Cairo, która wznosiła się na prawo od nas do drogi.

Zdaje się, że zawiądzę swoim ocenie okoliczności, że wysorowałem się tak daleko przed plutony Uwaga Niemieszko była bowiem zwrcona na moje wojsko, tak że mnie udało się minąć dwa stanowiska broni maszynowej nieprzyjaciela których zresztą nie zauważyłem i dostać się na górę za nimi. Zatkniętam tam łaskę hinduską, którą dostałem w prezencie od Hindusów, kiedy luźnowaliśmy ich w Tobruku. Przynosi ona szczęście. Nagle usłyszałem za sobą szcęk „dwo Spandauów”. Strzelali one do moich plutonów podążających do góry. Nie namyślając się odgięłem zbiegiem w dół na wysokość nieprzyjaciela i krzyknąłem „Hurra”. Wpaściliśmy na stanowiska nie od czoła, ale z boku. Od razu poniosłem ciężkie straty, ogłem na moim skrzydle 4 zabitych i 5 rannych. Pierwszy granat — rzucony przez wachmistrza, okazał się niewypałem. Straciłem sporo czasu czekając na jego wybuch. Z następnymi posłałem jednak lepiej. Jeden z ułanów wpadł do schronu zabijając celownika Spandau’a. W drugim schronie celowniczy poddał się rnie wleając „Bitte nicht schiessen” („Proszę nie strzelać”) i podniósł ręce do góry. Resztę załóg wybiliśmy w walce wręcz. Przynajmniej, że zdobycie tych pierwszych stanowisk przyniosło mi znaczną satysfakcję. Poobiegłem do ciężko rannego ułana Mickowskiego który mi dał kartkę z adresem i powiedział: niech pan porucznik idzie naprzód, ja sobie sam dam radę. W parę minut później umarł.

Widząc, że na prawo toczy się zawzięta walka o środkowe stanowiska nieprzyjaciela, posłałem jeden „Bren” na pomoc na prawe skrzydło, a z drugiej pobiegłem do dowódcy szwadronu, który znajdował się w środku ugrupowania pod bardzo ciężkim ogniem granatów ręcznych i broni maszynowej. Dowódca szwadronu zamiast wdzięczności za pomoc przyjął mnie opryskliwie i kazał czuć naszym skrzydłem. Tymczasem zaczęła się już bitwa z drugą linią umocnień nieprzyjaciela. Było to 6 dużych stanowisk w małej dolinie, położonej o jakieś 100 metrów od zdobytych przez nas bunkrów. Podziwiałem żołnierzy niemieckich, którzy wypelzali ze swych stanowisk i na odległość 70 m regulaminowo rzucali nam swoje trzonkowe granaty ręczne. Na szczęście pole ich rażenia jest stosunkowo nieduże. Jeżeli jednak taki granat wpaśnie do stanowiska, to jego załogi jest przesyżony. Do stanowiska w którym leżał wachmistrz

(Dalszy ciąg na str. 5.)

(Dalszy ciąg ze str. 4)

zastępcę dowódcy plutonu wsparcia, wadł właśnie granat trzonkowy. Myślałem, że już po nim. Nagle zobaczyłem, że udao mu się odrzucić nat Niemcom.

Zdobycie centrum pozycji

Centrum pozycji zostało zdobyte bezpośrednio dowództwem rotmistrza.

W chwili kiedy dowódca mego lewego skrzydła już zrułował dwa stanowiska nieprzyjaciela — opowiada rotmistrz — reszta mego wojska przeżywała moment krytyczny. Byliśmy tu około 200 metrów na stronom toku wzgórz 893, kiedy w odległości około 40 metrów przed nami deżywały się Spandau i Schmeissery centrum i lewego skrzydła linii. Jednocześnie byliśmy pod mierzonym ogniem ze strony prawej, o roku góry Cairo. Zrozumiałem, że jeśli zaczniemy odwrót na stoku (50 stopni nachylenia), to żywa noga nie wyjdzie ze szwadronu. Mieliśmy do wyboru, albo wziąć szturmem linie nieprzyjaciela, albo zginąć. Szwadron od ogniem zaległ na ziemi. W tej chwili był najcięższy kryzys naszej akcji. Krzyknąłem do mego zastępcy i prawym skrzydłem: „Florek, albo ich zabędziemy, albo jesteśmy straceni.” Wziłem resztę używając terminu szturmowego. Wtedy podjąłem się i dałem rozkaz natarcia. Ścieraliśmy od czoła na stanowisko nieprzyjaciela, w którym nie było karabinu maszynowego, lecz tylko pistolety automatyczne i granaty ręczne. Ja i idący przy mnie najmłodszy podporucznik szwadronu wystzelaliśmy pełne magazynki z naszych pistoletów do stanowiska, ułani rzucali granaty. Niemcy nie wytrzymali nerwowo tylnym wyjściem wycofali się do swej następnej linii o 50 metrów dalej w dolince. Podporucznik idący przy mnie został ranny w łokieć, nie chciał jednak schodzić z pola, choć głą krwawiła mu okropnie. Musiałem go wreszcie nabeszać mówiąc, że nie mam ludzi, aby go odnosić, kiedy słabnie z upływu krwi. Wtedy stanął przede mną na baczność i salutując powiedział: „Panie rotmistrzu, melduję woje odejście na punkt opatunkowy, co wykonaniu zadania”. Zaczęliśmy, że w życiu garnizonowym oficer ten był jako wróg wszelkich form wojskowych. W tym wypadku wykażał jednak tak zwany „fason kawalerski”.

Tymczasem ja zaległem w zdobytym schronie z sanitariuszem i kaprałem, moim dowódcą pocztu. Przede mną na jakieś 50 metrów w dolince zagnęła się linia nowych, doskonale kamuflowanych stanowisk nieprzyjaciela. Na prawo ode mnie lewe skrzydło pierwszej linii nieprzyjaciela było zdobywane krok za krokiem w ciężkiej walce. Do tej chwili mogłem porozumiewać się z artylerią za pośrednictwem obserwatora — baterijskiego podchorążego Zawistowskiego. Poza tym rozporządzałem radiostacją i linią telefoniczną dowództwa pułku. W jednej chwili straciłem to wszystko oraz praktycznie całą moją pocztę. Najpierw pocisk moczył z rózbił aparat telefoniczny, a seria z karabinu maszynowego zabiła jego obsługę. Następnie pocisk artyleryjski trafił w małe stanowisko tuż koło mnie, rozbił radiostację i zabił na miejscu podchorążego Zawistowskiego, wachmistrza Maciołka z łączności, 1. ut. Lisa i ut. Byczka. Wszelki mój kontakt ze światem został rerwany. Na dobitkę wtedy właśnie zaczął się przejawiać szalony brak amunicji i granatów ręcznych. Sam pan rozumie, że na taką wspinaczkę nie mogliśmy zabrac doś amunicji, aby długo podtrzymywać walkę ogniową o takim natężeniu. Zostało mi już tylko kilkadziesiąt sztuk amunicji na 3ren i jeden tylko niemiecki granat ręczny, który mój dowódca pocztu za wszelką cenę chciał dorzucić do stanowisk nieprzyjaciela w następnej

linii. Ze stanowisk tych co chwile wypelzali żołnierze i usiłowali wrzucić do schronu granat ręczny. Poza tym niemiecki strzelec wyborowy czuwał nad otworami tylnymi mego schronu. Niemieccy strzelcy wyborowi mają następujący system pracy w stosunku do schronów: kiedy ktoś się wychylił pierwszy raz — nie strzelają, tylko biorą ten punkt, gdzie się wychylił, dokładnie na muszkę. Za drugim wychyleniem sprawdzają, za trzecim posyłają śmiertelny strzał. Trzeba więc pamiętać, aby nie wychylać się dwa razy w tym samym miejscu.

Mój dowódca pocztu wysunął się ze schronu ze swym ostatnim granatem i został ciężko ranny w piersi i szyję. Sanitariusz, który go wciągał

sobą, jesteśmy zgubieni i cały szwadron z nami. Przede mną był stromy stok, a na stoku 3 małe stanowiska nieprzyjaciela z karabinami maszynowymi i jedno duże, w którym znajdowało się około 15 ludzi. Niemcy poczeli rzucać swoje granaty trzonkowe z góry na dół. Nie wiem, dlaczego przypomniała mi się knijpa i żongler wyrzuciły do góry kregle. Niebo było tak pokreskowane rzęzkami od granatów, że wyglądało jak obraz Józefa Czapskiego. Poza tym byliśmy pod silnym ogniem z prawej strony, ze zbocza góry Cairo. Zrozumiałem, że szturmować te stanowiska „prosto do góry równałoby się czystemu samobójstwu. W czasie tej wspinaczki, Niemcy wystzelaliby nas jak kaczki

na złość mój Thompson zaczął się w tej chwili, prawdopodobnie w skutek zabójczych magazynków, gdyż zaczął padać deszcz. Ogrnęła nas jak gdyby furia bojowa. Brakowało granatów, więc kapral Kuligowski porwał dwa kamienie i zawołał: „Krzykiem ich panie poruczniaku, krzyknie!” Ryknęliśmy straszliwie „hurra!” Kuligowski rzucił swoje dwa kamienie, ja ostatni granat. Niemcy tylnym wyjściem uciekali już w stronę Monte Cairo. Kuligowski odskoczył w dół, porwał c. k. m. Browning, ustawił na podstawie i dał serie zabijając 7 Niemców. Widziałem, jak jeden Niemiec zairzwał się, aby opatrzyć rannego koleżę, więc zacząłem strzelania w jego stronę. Pierwszą linią mocniej było zdkwidowana. Pozostawał jednak najcięższy orzech do zgrzyzienia. W dolince o około 40 m. ode mnie było 6 dużych stanowisk nieprzyjaciela, które ziały ogniem i z których co chwila wypelzali szalenie odważni alpejczyrzy z granatami ręcznymi i usiłowali je wrzucić do naszych schronów. Chwilę później zginął w ten sposób kapral Najdowicz.

Powodzenie dalszej akcji zależało od ustawienia naszej broni maszynowej w ten sposób, aby paraliżować ogień nieprzyjaciela i nie pozwolić mu na wycofanie się. Trzeba było ustawić pod piekielnym ogniem ckm Browning w tylnym wejściu zdobytogo schronu, zamontować go na podstawie i prowadzić stamtąd ogień do stanowisk niemieckich.

Przypomina mi to motywację jednego z Krzyżów Walecznych, nadany w czasie kampanii libijskiej. „Prowadził ogień w czasie ognia”. Pamiętam, że wsmiewaliśmy się z tej formuły, ale teraz widzę, iż ma ona głęboki sens.

Istotnie. Kiedy pierwszy raz wysunęliśmy nasz Browning z tylnego otworu schronu, okazało się, że serie padają dużo za wysoko i że aby je zniżyć, trzeba ckm podnieść do góry. W tym celu trzeba było wychylić się ze schronu, a na tę chwilę czekał niemiecki strzelec wyborowy i żołnierze niemieccy z granatami ręcznymi. Pierwszy padł ranny kapral karabinowy, po nim usiłowali wychylić się jeden z ułanów i także został ranny. Browning był już jednak zamontowany na podstawie, lecz okazało się, że jeszcze za nisko stoi. Wtedy wychylił się kapral Kruszelnicki, by coś podłożyć pod podstawę i padł zabiły kulą w czoło. Nie miałem czasu go odsunąć i brocząc w krwi — moje spodnie były zupełnie czerwone, począłem sam strzelać z feralnego Browninga. Ogień nie był jeszcze tak skuteczny, jak chcieliśmy. Dopiero ostatniemu pozostałemu z obsługi — podchorążemu udao się szczęśliwie nastawić Browninga. Zdaje mi się, że jego ogień był jednym z głównych czynników nadchodzącego sukcesu. Praca nad założeniem karabinu i następnie walka ogniowa trwała razem około godziny.

Było już około piętej. Nasz kryzys wyraźnie mijał. Jeden z ułanów pozostawionych na dawnym miejscu postoju szwadronu na wiadomość, że nie ma łączności z rotmistrzem, chwycił samorzutnie zapasowy aparat telefoniczny i biegł 3 mile na pole walki. Łączność z artylerią została na nowo nawiązana. Drugi szwadron coraz to więcej dostarczał amunicji. Nasz dwualowy moździerz po śmierci utana Angielskiego, doskonale obsługiwany przez jednego z podchorążych, coraz bardziej daje się we znaki Niemcom siedzącym w schronach.

VII. Kapitulacja.

O godzinie 5 z wielkim zdziwieniem zauważyliśmy trzy białe rakietki wystrzelone z jednego ze schronów niemieckich. Dziesięć minut po niej z tego samego schronu wysunął się patyk z białym gałgankiem. Niektórzy nasi rzucali się naprzód, ale rotmistrz ich wstrzymuje. Może być zasadka. „Hände hoch” — wołamy z

(Dalszy ciąg: na str. 7.)



Po walce

(Rys. H. Węclawowicz)

z powrotem, został trafiony w hełm granatem ppanc, wystrelzonym z pistoletu-granatnika. Pocisk zerwał mu hełm z głowy, a on upadł na wznak. Myślałem, że zabił, ale patrz na hełm i widzę, że jest tylko wygięty, a tu mój dzielny sanitariusz już z powrotem wciąga dowódcę pocztu do schronu. Teraz wytworzyła się w schronie dość nieprzyjemna sytuacja. Dowódca pocztu, który chwilę później stracił mowę, wciągnął pytał nerwowo: „czy ja trafiłem? czy ja trafiłem?” i do sanitariusza: „trzymaj mnie za ręce, trzymaj mnie za ręce!”. Od prawej strony dochodziły mnie ostrzegawcze okrzyki zastępcy, że nowy Niemiec z granatem pełźnie pod mój schron. Ja bez amunicji i bez łączności. Jedynym słowem w dość makabrycznej sytuacji. Wtedy jednak nastąpiło przesilenie. Z największą ulgą zobaczyłem za chwilę małych ułanów 2 szwadronu, którzy podpełzali na nasze stanowiska i podzucali przyniesioną z dołu amunicję. Mój zastępca wyrzucił Niemców z lewego skrzydła pierwszej linii, które było najsilniejsze. Kończył się nasz kryzys, zaczynał się kryzys drugiej linii nieprzyjaciela.

W jaki sposób Niemcy zostali wyrzuceni z lewego skrzydła?

To już panu opowie mój zastępca, zwany popularnie Florkiem, największy moczygęba pułku, wstawiony wyprawą do Polski z Węgier i przyniesieniem z kieleckiego do Budapesztu polskiego kb. ppanc., którego modelu potrzebował wtedy gen. Sikorski.

VI Lewe skrzydło

Moje dwa plutony szły z początku w tylnym rzucie i dlatego, gdy szwadron rozwinął się do natarcia — rozpoczyna swoje opowiadanie Florek — znaleźliśmy się na prawym skrzydłe i trochę w tyle. Kiedy stanowiska nieprzyjacielskie zaczęły ogień, byliśmy już około 200 metrów na stoku. Z lewej strony dobiegł mnie głos rotmistrza, który w niedwuznaczny sposób dawał mi do zrozumienia, że jeżeli nie zabędziemy stanowisk przed

i wybili granatami. Wrzuciłem więc r. k. m. z sekcją do dziury, która stanowiła niewielkie martwe pole, z zadaniem wiania stanowisk ogniem od przodu, a sam puściłem się skokiem w lewo ku rotmistrzowi, z zamiarem uderzenia na stanowiska z boku od lewej strony. Po drodze pluton rozwołał mi się trochę — jak zwykle w tak ciężkim ogniu. Za mną pozostał kapral Kuligowski i dwu ułanów. Było jasne, że jeżeli natychmiast nie zlikwidujemy Niemców od strony centrum stanowiska, rotmistrz i jego grupa będzie stracona w ogniu bocznym. Nie było wahania. Rzuciliśmy granaty. Niemcy uciekli do następnego schronu. Myśmy wpadli za pierwszy zdobyty schron i z przerażeniem skonstatowaliśmy, że nie mamy więcej granatów. Jeden z ułanów sięgnął do schronu i znalazł tam granaty niemieckie, nie umiał się jednak z nimi obchodzić. Na szczęście mój ojciec, aczkolwiek ziemianin z zawodu, miał zacięcie pirotechniczne i z wojny światowej poprzywoził najrozmaitsze granaty. Ślad właśnie, a nie z 5 już blisko lat intensywnego „wyszkolenia”, wiedziałem, jak się z nimi obchodzić.

Rkm. zostawiony w dole wiazał Niemców od czoła, my zaś zdobycznymi granatami wykurzyliśmy ich z następnego stanowiska. Przy tej sposobności jeden z moich ułanów miał przestrzeżony kark, o milimetr od kregu. Dzielny człowiek, nie chciał jednak odejść i dalej walczył. Granaty niemieckie zaczęły się kończyć, więc 17-letni ułan Miarkowski pełzał po rejonie, wynajdywał porzucone granaty i przynosił mi ich 6. Zginął, kiedy szedł po siódmy. Cłowniczy Brena od przodu był już wtedy ciężko ranny, a jeden z jego obsługi zabił. Widziałem jak ostatkiem sił strzelał i wiazał nieprzyjaciela od czoła, lecz trzeba było się spieszyć, gdyż za chwilę ta pomoc musiała ustać. Wtedy mojemu gońcowi, albo mnie samemu udao się ustrelzić Niemca w trzecim małym stanowisku. Pozostawał do zdobycia jeden wielki schron, w którym siedziało 15 Niemców. Jak

Jeżeli ofensywa we Włoszech rzeczywiście nie była hasłem dla „inwazji” z trzech stron naraz, a więc jeżeli słowa marsz. Smutsa, że „inwazja to jedno przedsięwzięcie na trzech frontach” nie oznaczały wcale, iż wraz z ofensywą włoską uderzą równocześnie Sowiety na froncie wschodnim i wojska anglo-amerykańskie, zgromadzone w Anglii — jeżeli więc to, co się dzieje obecnie, dzieje się zgodnie z ustąpnym przez sprzymierzonych planem, to osiągnięty został w drodze takiej „wojny nerwów” efekt strategiczny o wielkim znaczeniu: Niemcy wahają się ze ściąganiem większych rezerw z innych — martwych na razie — odcinków na front włoski, który posiłków bardzo potrzebuje. Bo Niemcy — jak to wiadać z dochodzących nas głosów prasy i radia niemieckiego — uwierzyli, że wraz z ofensywą we Włoszech rozpocznie się inwazja na wielką skalę. Toteż skwapliwie, choć zapewne z uczuciami mieszanymi, notowali, że oświadczenie marsz. Smutsa o „jednym przedsięwzięciu” zostało w Moskwie przyjęte „bardzo chłodno”. Lęk przed inwazją nie opuszcza jednak nadal. Kilka świeżych dywizji, ściągniętych z Bałkanów i rzekomo także z Francji, umożliwiło im na razie wzmocnienie oporu u samych „bram Rzymu”, jak wyraził się gen. Mark Clark. Ale berlińscy rzeczoznawcy wojskowi nie tają, że sytuacja we Włoszech jest trudna.

Jak wielkie być musi znaczenie wydarzeń włoskich dla morale społeczeństwa niemieckiego, to łatwo zmierzając zestawiając wypowiedzi berlińskie o sytuacji strategicznej we Włoszech na przestrzeni choćby tylko tygodnia. Dnia 23 maja gen. Dittmar powoływał się na niemieckiego Clausewita i tłumaczył, że Kesselring stosuje we Włoszech „ofensywną defensywę”, która nakazuje przystąpić do przeciwdzierzenia, gdy nieprzyjaciel — dołąd nacierający — osłabnie. „Ktoż śmie zaprzeczyć, że naszych przeciwników spotka wcześniej lub później, w tym czy innym miejscu taki właśnie los?” Sprzymierzeni nie osiągnęli głównego celu swej ofensywy — dodaje Dittmar — gdyż nie udało im się odciąć większych sił niemieckich, a tylko taki wypadek mógłby zmusić dowództwo niemieckie do ściągnięcia większych posiłków skądinąd.

Po zjednoczeniu się wojsk z przyczółka Anzio-Nettuno z wojskami nacierającymi od południa — agencja niemiecka „Transocean” oświadczyła, że „neutralna sytuacja we Włoszech pozostała niezmienną”, gdyż „z taktycznego punktu widzenia obrona jednego tylko frontu — jak obecnie — będzie łatwiejsza, niż obrona dwóch oddzielnych frontów”. Po czym agencja pociesza się wielkimi stratami, jakie poniosł nacierający przeciwnik.

Niemiecka Dunkierka?

W audycji radia berlińskiego przeznaczanej dla anglosaskich wojsk inwazyjnych Niemcy posuwają się do twierdzenia, że gdyby nie porocztwa różnych wybitnych polityków alianckich, którzy przepowiadali upadek Rzymu na ubiegłe Boże Narodzenie, a następnie na Wielkanoc — obecna ofensywa byłaby wogóle zbędna: „bo czy jest jakaś różnica między frontem przebiegającym pod Neapolem, a frontem przebiegającym pod Rzymem?” Sprzymierzeni daremnie trwonią krew, ołtarz nie zdecydują bowiem o wyniku wojny: „Włochy pozostaną zawsze frontem ubocznym, drugorzędnym, na którym ani Niemcy ani ich wrogowie nie mogą ani wygrać, ani przegrać wojny”.

„Transocean” wreszcie tak streszcza ocenę sytuacji: gen. Alexander nie wykonał pierwotnego planu, który polegał na związaniu sił niemieckich między Minturno a Cassino, by umożliwić siłom zgromadzonym na przyczółku uderzenie na Niemców z tyłu i w ten sposób otoczyć armie niemieckie blokując im odwrót na linii via Appia (7) i via Casilina (6). Kesselring uniknął okrążenia i wycofał znaczne siły z południa na północ. „Następnym zadaniem obrony

„Niebezpieczna pustka”

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

niemieckiej siły utrzymania drogi od wrotu na odcinkach Aprilia i Velletria dopóki oderwanie się wojsk niemieckich nie zostanie przeprowadzone do końca. Można już stwierdzić, że obliczenia Alexandra zawiodły i że Kesselringowi udało się wyprowadzić wojska z pułapki. Tak więc dowiadujemy się, że na Niemców we Włoszech zastawiona była pułapka i że odnieśli wielki sukces — nie wpadając na nią. Legende te rozbija sam marsz. Kesselring, który w świeżo wydanym rozkazie stwierdza, że od oporu pod Valmontone zależy los 100.000 żołnierzy niemieckich z doliny Liri. Więc nie uszli jeszcze Niemcy z zasadzki.

Dyplomatyczne kłębawisko

Leż inwazja stanowi nie tylko dla Niemców przedmiot wielkiego zainteresowania. Nie mniej kłopotu mają z nią kraje neutralne i mniej lub więcej mimowolnie satelici Niemiec, a problem y z nią związane są powodem licznych oświadczeń wybitnych mężów stanu państw sprzymierzonych. Dowództwo sił inwazyjnych ogłosiło, że przygotowania do wielkiego przedsięwzięcia są częściowo ukończone, a częściowo na ukończeniu. Gen. Eisenhower wyraził swe zadowolenie ze stanu przygotowań. Sowiety nie zrażają się niepowodzeniem swojej ofensywy dyplomatycznej przeciwko Węgrom i Bułgarii; na odcinku bułgarskim udało im się nawet osiągnąć świeżo znaczny sukces, gdyż kraj ten znajduje się obecnie w ciężkim kryzysie wewnętrznym: doszło do tego, że Berlin postawił Sofii ultimatum, którego termin upływa, gdy piszemy te słowa. Były już nawet pogłoski o wkroczeniu wojsk niemieckich do Bułgarii. Z drugiej strony toczy się wymiana zdań między Anglią a Portugalią. Nie można także pominąć faktu, że gen. de Gaulle, który został oficjalnie zaproszony przez Churchilla do Londynu, udał się tymczasem do Algieru (z frontu włoskiego), by wraz z Komitetem Wyzwolenia Narodowego omówić sprawy stosunków międzynarodowych i ustalić „statut wewnętrznych sił francuskich”.

Jeżeli wreszcie chodzi o Hiszpanię, której Churchill wyraził swoje zadowolenie z powodu postawy zajętej przez nią wobec aliantów, to prezydent Roosevelt oświadczył ostatnio, że „półrodk”, jakie zastosowała Hiszpania w swoich stosunkach handlowych z Niemcami, nie wydają mu się „zadowolające”.

Czym ma być inwazja?

Ale poza poszczególnymi — często nieuzgodnionymi — krokami dyplomatycznymi sprzymierzonych w stosunku do różnych krajów europejskich sprawa inwazji wzgl. przygotowania inwazji nasuwa przede wszystkim jedno zagadnienie polityczne: *czym ma być inwazja*, tj. co czeka narody Europy, gdy inwazja się uda. Prezydent Roosevelt podchwycił z entuzjazmem sformułowanie, jakie mu podsunął jeden z dziennikarzy amerykańskich, gdy stwierdził, że „działania alianckie w Europie mają na celu raczej *wyzwolenie* niż inwazję krajów okupowanych”. Przy tym prezydent Stanów Zjednoczonych uczynił interesującą uwagę, że „zagadnienia powojennego porządku były dyskutowane w Casablanca, Kairze i Teheranie pod kątem widzenia unifikacji Trzeciej Wojny Światowej”. Dyskusje te doprowadziły na razie do „pierwszego szkicu”, który musi być jeszcze ze szesć lub siedem razy przerobiony, zanim będzie się nadawał do publicznej dyskusji. Tą rezerwą tłumaczy się — być może — że Roosevelt odmówił wypowiedzenia się na temat projektu „Rady Światowej”, wysuniętego przez Churchilla. Prezydent Roosevelt zapowiedział jednak, że spotka się z premierem brytyjskim jeszcze tego roku, a w każdym razie przed końcem kadencji urzędowej, tj.

przed 20 stycznia. Pragnąłby także omówić zagadnienie porządku powojennego z szefami innych wielkich mocarstw.

Sprawa organizacji powojennej Europy przeszła w ciągu ostatnich miesięcy długą ewolucję. Churchill już w lutym powiedział: „sprawy ostatnio tak szybko się rozwijają, że rozmowy te (w Moskwie i Teheranie) wydają się obecnie zamierzającą historią”. Dziś wolno już stwierdzić, że słynna mowa marsz. Smutsa z końca listopada była pierwszą próbą rewizji planów, omawianych na owych konferencjach Wielkiej Trójki. Smuts wysunął projekt ściślejszego związku Anglii z „mniejszymi demokracjami zachodniej Europy”. Projekt ten początkowo oceniano jako ostrzeżenie przed możliwym przesunięciem sił w Europie, gdyby po pokonaniu Niemiec Anglia nie była gotowa bliżej zainteresować się sprawami europejskimi. Później dopiero zaczęto większą uwagę zwracać na sam projekt Smutsa, aż na wiosnę br. zaczęły pojawiać się projekty nowe, jak np. plan sir Walter Laytona, omówiony już na łamach „Orła Białego”.

Niebezpieczeństwo nihilizmu

Mowa Churchilla przed debatą w Izbie Gmin nad polityką zagraniczną Wielkiej Brytanii zaktualizowała te sprawy i posunęła je naprzód. Już w debacie, jaka rozwinęła się nad tą mową, wypłynęły momenty nowe. I tak np. przywódca opozycji Arthur Greenwood wypowiedział się przeciwko planowi oddania władzy nad światem „trzem lub czterem wielkim mocarstwom”. Narody Kontynentu „wypatrują od Anglii moralnego przywództwa” i pragną mieć pewność, że „czeka je przyszłość w radzie narodów”, bo ta pewność pomoże im „przetwać ciężkie czasy”, jakie je w najbliższych miesiącach czekają. Sir Samuel Hoare, b. ambasador brytyjski w Madrycie, przyłączył się do zdania Greenwooda i stwierdził, że Anglia rozporządza wielkimi możliwościami i prestiżem na kontynencie, pytanie tylko, czy Anglii „będą mieli dość wyobraźni, by z tych możliwości i z tego prestiżu skorzystać”.

„Stoi przed nami — oświadczył Hoare — zadanie obrony nowej doktryny życia, nie opartej na materializmie, ale łączącej wolność z porządkiem... Europa musi mieć wspólną ideologię. Jak obecnie sprawy stoją, stary anarchiczny liberalizm skończył się, a mamy nadzieję i wierzymy, że totalizm także zostanie zniszczony... Jeżeli w Europie nie ma powstać *niebezpieczna pustka* (podkr. nasze — red.), w której zagnieździł się gorzej jeszcze zło, musimy znaleźć nową ideologię.” Hoare wypowiedział się następnie przeciwko „więzieniu ludzi bez sądu”, przeciwko niepraworządności, a także przeciwko „kastom, które byłyby ponad prawem lub posiadały specjalne polityczne przywileje”. Nie obawia się on tyle komunizmu, co nihilizmu w Europie.

Misja W. Brytanii

Trzeba przyznać, że już w mowie Churchilla można znaleźć podobne akcenty. Premier brytyjski powiedział np.: „Musি skończyć się zborcza eksploatacja ambicji nacjonalistycznych. Nie znaczy to jednak, by narody nie miały cieszyć się swoimi tradycjami w całym ich splendorze, lecz nie będzie im wolno zaspokajać z bronią w rękę apetytów na nowe terytoria kosztem innych krajów, tylko dlatego, że są one mniejsze, słabsze lub gorzej przygotowane...” Ale zdanie to — niestety — nie jest jednoznaczne i nie wyczerpuje ideowej treści mowy Churchilla.

Min. Eden zaproponował, by dla wykazania, że Anglia nie przestaje myśleć o interesach mniejszych naro-

dów — Izba Gmin wystosowała do mniejszych krajów okupowanych orędzie, które dawało im odwagę i wzmocniło w nich nadzieję, że „wyzwolenie już nie będzie musiało długo czekać. Eden stwierdził, że jedyną z głównych przyczyn obecnej wojny był „niepowstrzymany upadek obyczajów międzynarodowych”, spowodowany postępowaniem Mussoliniego i Hitlera, którzy „wykorzystywali pragnienie innych narodów, by te obyczaje zostały utrzymane, dla uzyskania koncesji, po czym koncesje te wykorzystywali, by wysunąć dalsze żądania i budowali na widocznej u innych narodów chęci unikięcia wojny”. Nie może być pokoju — oświadczył Eden — „dopóki ludzie używają takich metod i technik”. Pragnęliśmy wierzyć, że słowa Edena są nie tylko wspomnieniami historycznymi, ale że odnoszą się do naszych czasów. Mówi on, że „utrzymanie obyczajów międzynarodowych jest obowiązkiem angielskiej polityki zagranicznej”. Nie możemy jednak powstrzymać się od uwagi, że tak samo myślał Chamberlain, który właśnie przychylił się do utratienia zadania Hitlerowi. Ufamy, że p. Eden wyciągnie właściwą naukę z doświadczeń Chamberlaina.

Anglia wobec Europy

W sprawie powojennej organizacji politycznej świata zabrali już także głos przedstawiciele zainteresowanych krajów europejskich. I tak np. partia rządząca Portugalii wydała komunikat, w którym wypowiedziała się przeciwko „supremacji jednego państwa” i przeciwko „utworzeniu jakiegos nadpaństwa roszczonego sobie pretensje do roli międzynarodowego strażnika pokoju”.

Min. spr. zagr. Holandii van Kleffens wyraził wątpliwość, by plan oddania egzekutywy w sprawach świata powojennej Ameryce, Anglii, Chinom i Rosji a może także Francji mógł być urzeczywistniony. „Zaden krok tego rodzaju nie znalazłby czynnego poparcia mniejszych państw, które razem mają niejedną setkę milionów ludności”. Van Kleffens podaje następnie kilka powodów, dla których mniejsze narody mają prawo zabierać głos w swoich sprawach i sprawach świata, przy czym ani słowem nie powołuje się na liczne gwarancje, jakich przecież w tej sprawie udzielił światu w ciągu ostatnich lat wszystkie wielkie mocarstwa. Usprawiedliwienia ambicji politycznych mniejszych narodów trzeba już dziś szukać poza Kartą Atlantycką — znak czasu!

Niemniej charakterystyczna jest odpowiedź Turcji na mowę Churchilla, który nie szerzył temu sojusznikowi W. Brytanii gorzkich wymówek. Redaktor naczelny dziennika „Aksham” pisze m. i.: „Jedyną usługą, jakiej oczekujemy od naszych sprzymierzeńców jest, byśmy wzajemnie szanowali nasze interesy. Tylko na tej podstawie może być mowa o wzajemnej pomocy. Nie opieramy naszej przyjaźni z Anglią na chwiloowych i przejściowych okolicznościach”. A redaktor oficjalnego „Ulusa”, Atay, dodaje: „Związek naszych dwóch krajów (tj. Turcji i Wielkiej Brytanii) jest wręcz niezbędny dla samej naszej egzystencji”.

Niechaj na zakończenie wolno nam będzie cytować głos Anglika — i to przedstawiciela robotników angielskich. Arthura Greenwooda, który w debacie nad mową Churchilla oświadczył w Izbie Gmin: „Jesteśmy jedynym wielkim mocarstwem w tej wojnie, które wojnę formalnie wypowiedziało. Fakt ten obciąża nas odpowiedzialnością za te narody, które w wyniku dobrowolnego aktu rządu brytyjskiego zostały napađnięte i cierpiały najgorzej katusze niemieckiej tyranii. Stawia to nas w szczególnym położeniu wobec narodów Europy. Mamy nadzieję, iż rząd uzna, że te zobowiązania winny być z honorem wypełnione”.

POLSKA W POLITYCE CHURCHILLA

(Dokończenie ze str. 1.)

Churchill — gdyby to chciał powieścić — poprzestałby na ogólnikach. W tym samym artykule Anglia i Rosja zobowiązały się, że „nie posiadają żadnych ambicji terytorialnych”. Może to jest przytyk?

Wreszcie rozpatrzmy jeszcze pod kątem widzenia traktatu anglo-sowieckiego owozdenia Churchilla o „wszystkich Polakach i wszystkich Rosjanach”. Churchill pragnie, by walczący oni „ze wszystkimi Niemcami”. Gdyby chciał rozumieć nową Churchilla jako polemikę z Sovietami, można by przyjąć, że Churchill krytykuje istnienie w Moskwie wspomnianego już Komitetu „Wolnej Niemcy”. Słaje się to dosyć prawdę podobne w świetle innych cpiń Churchill'a z cmanowanej mowy. Churchill wcale nie bagatelizuje tego, co Rosja robi u siebie, przeciwnie — takie fakty, jak likwidacja Kominternu i „Konstytucja Stalinowska” są dla niego dowodem, że „w Rosji zaszły głębokie zmiany”. Churchill buduje na tych zmianach nadzieję na pogłębienie współpracy z Rosją — która przy kontynuowaniu roboty Kominternu i przy systemie „przedkonstytucyjnym” byłaby najnamniej bardzo utrudniona. Jeżeli więc Churchill przywiązuje taką wagę do pewnych zewnętrznych gestów

ządu sowieckiego, to może przez ową aluzję o „wszystkich Niemcach” chciał Moskwie wskazać na niewłaściwość utrzymywania stosunków z „jakimiś Niemcami” i może pragnie, by Komitet „Wolnej Niemcy” został rozwiązany?

Ale tu Moskwa może mu odpowiedzieć wskazaniem na art. 2. traktatu brytyjsko-sowieckiego, który zabrania sygnatariuszom zawierania porozumień „z rządem hitlerowskim i z każdym innym rządem niemieckim posiadającym charakter agresywny”. Komitet niemiecki w Moskwie — jak wszystkie inne tego rodzaju komitety moskiewskie — niewątpliwie sżykuje się do objęcia władzy w swoim kraju, a w każdym razie Świewty pozwalają mu występować z manifestami i deklaracjami, które bez tego zamiaru pozabawione byłyby sensu. Czy Soviety jednak będą miały wielkie trudności z wykazaniem, że moskiewski komitet niemiecki reprezentuje Niemców nieagresywnych? Po prostu, oświadcza to i basta.

Churchill żałuje, że wysiłki rządu brytyjskiego, by odnowić stosunki

dyplomatyczne między Związkiem Sowieckim a „rządem polskim w Londynie” nie dały wyniku. „Dodaje, że „musimy dbać o to, by nie powiedzieć nic takiego, co mogłoby takie porozumienie uniemożliwić w przyszłości”. Wierzy więc, że do porozumienia polsko-sowieckiego dojdzie. Klóz z Polaków nie pragnie tego, ale klóz z nas nie widzi, że zanim to nastąpi, muszą zająć w Rosji jeszcze dalsze „głębokie zmiany”, choćby takie, które sprawią, że Rosja... zacznie się stosować do postanowień swego traktatu z Anglią!

To, czego mamy prawo spodziewać się po rządzie brytyjskim, to nie tylko przestrzeganie formalnej treści Karty Atlantycznej, jej „idealistycznych” założeń i postanowień, ocenianych przez Churchilla już tylko jako „drogowskaz” — mmy prawo spodziewać się, że rząd brytyjski nie będzie traktował Polaków jako zbiorowiska ludzi, którzy mają trochę wojsk tu, a trochę tam, którzy mają „rząd w Londynie” i którym trzeba tak czy inaczej zapewnić „bezpieczny byt” na takim lub innym terytorium, ale że

w każdym wypadku, gdy zmuszony jest zająć się sprawą polską — ma do czytienia z *Polską* — tą samą, z którą Wielka Brytania zawierała w r. 1939 traktat sojuszniczy i która nie opuściła Anglii w jej najcięższych chwilach, a obecnie walczy na wszystkich dostępnych dla Polaków frontach.

Rząd brytyjski nie potrzebuje Polaków *jednoczyć* — z kimmkolwój by to było — bo Polacy są *zjednoczeni*, a widocznym wyrazem tego zjednoczenia jest Państwo Polskie posiadające swój rząd (chwilowo w Londynie), swoje wojska w kraju i na emigracji i swoją niezmienną *mację stanu*.

Polacy są na tyle dojrzałi politycznie, by — gdy myślą o stosunkach międzynarodowych — wysłuchać kategoriami polskiej racji stanu i wszystkie inne racje pod tym kątem widzenia ocenić.

Wierzymy, że Anglia nie pragnie nam odbierać naszej *woli politycznej*, bo wierzymy, że wzmocnienie tej woli leży w dobrze rozumianym *interesie* Anglii, choćby ten interes wydawał się samym Anglikom raczej „ideałem” niż rzeczywistością.

Mieczysław Roman

rotmistrz — „alle heraus”. Pierwszy wychodzi sympatycznie wyglądający wysoki blondyn ze wstążką Eiserns Kreuz nr. Q. To podchorząży niemiecki — dowódca tego plutonu.

Za nim ociągający się wychodzą Niemcy, jeden po drugim. Wychodzą ich tyłu, że rotmistrz przez chwilę myśli, że jeżeli jeszcze trochę wyjdzie, to jęksimie zgbucieni. Na linii było w tej chwili już tylko kilkunastu naszych z kilkudziesięciu, którzy wyszli. Reszta, to zabici, ranni albo ci, którzy rannych wynożą. Niemców podało się 22. Nie mieli innego wyjścia, gdyż karabiny maszynowe z obu stron zamykały im drogę odrotu do tyłu pod górę na szczyt 893, a dalsze pozostawanie w schronach groziło im likwidacją przez moździerzce dwucalowe i naszą broń maszynową. Podchorząży niemiecki pytał się o oficera dowodzącego. Dowódca szwadronu kazał mu powieowiedzieć, czy są w tym rejonie jakieś pola minowe, względnie czy zostawili jakieś pułapki w schronach. Podchorząży oświadczył, że dalej już min nie ma. Kiedy jednak dowódca szwadronu zagroził mu, że jeżeli miny będą, żaden z nich nie dojdzie żywy do dołu, wypytał kolejno każdego dowódcę schronu, czy nie ma gdzieś pułapek, po czym potwierdził swoje pierwsze oświadczenie.

Tymczasem na następnym wzgórzu kazał się znaczny oddział niemiecki, który dowódca szwadronu określał na dwie kompanie i począł zmierzać w naszym kierunku. Był to prawdopodobnie skutek tych trzech białych akiet podchorążego. Wtedy łączność z naszą artylerią była już jednak nawiązana i artyleria ogniem zaporowym uniemożliwiła im przyjacielowi posuwanie się naprzód.

Okres od godziny 6 wieczorem do 8 rano następnego dnia stał pod znakiem odprężenia i zimna. Każdy z nas w pewnej chwili z przerażeniem konstatawał, że cały się trzęsie. Obawiamy się, aby ktoś nie myślał, że to

ZDOBYCIE PASSO CORNO - 893

(Dokończenie ze str. 5.)

ze strachu, ale w chwilę później stwierdziliśmy, że wszyscy docokala trzęsą się tak samo. W tym okresie największe straty poniosły oddziały, które nasze opatrywały, albo też szły nam na pomoc, jak na przykład pluton moździerzcy postany przez dowódcę pułku, który to pluton w 5 minut stracił całą część swego stanu od ognia ciężkiej artylerii. Pod wieczór nie było już ani jednego oficera szwadronu, który by nie był choć ranny. W chwili, kiedy Niemcy się poddali wszyscy nasi żołnierze na linii mieli spódnie we krwi. Szwadron powinien właściwie dostać przywilej noszenia czerwonych spodni.

VIII | Zaopatrzenie i jeńcy

O tym, jak dziełało zaopatrzenie, opowiada nam ułan z 2 szwadronu, twarzą chłopak, student prawa z Uniwersytetu Jana Kazimierza, który przebył kilka miesięcy w armii sowieckiej na froncie południowym.

Wznesienie do góry amunicji i znoszenie rannych po tych warkach nie zaliczają się, powiada on, do rzeczy zbyt łatwych. Na szczęście część furii bojowej 3 szwadronu uzieliła się i nam. Zdarzyła się wypadki, że niektórzy ułani chwytali skrynkę z amunicją na dole i oceniali ją aż na samą górę nie zdejmując ani razu z pleców. Taki człowiek dochodził na górę pół żywy. Znoszenie rannych po strumym stroku, to znów straszliwe zadanie. Prawie co krok jeden z niosących padał na ziemię i wtedy wszyscy musieli jednocześnie pacać, aby ranny się nie zwalił. Kiedy zrobilo się ciemno i nie można było znaleźć ścieżki — na każdym kroku groziły miny. Pewien starszy ułan plutonu wsparcia 2 szwadronu, który miał oczyszczać drogę od min, rozbił ich sam około 90 tego dnia. Ten człowiek ma dziwną intuicję, którą można porównać z różdżkarstwem. W najdawniej wianem wody podskórnej. W pewnej chwili chcieliśmy postawić nosze z rannym na ziemi i już schylił się ktoś, kiedy on podbiegł i „krzyknął: „Zaczekajcie chwilk!” Po chwili wyszedł spod noszy wyciągając dwa zapalniki niemieckie z wżsami.

Na donoszących amunicję i wynoszących rannych czyhały po drodze najrozmaitsze niebezpieczeństwa. Aby dojść na szczyt góry, trzeba było przejść przez głęboki jar, u wylotu

którego, od strony Monte Cairo czatował wyborowy strzelec niemiecki i usiłował zabić donoszących. Żadnej osłony od północy nie było, a nasi żołnierze z amunicją chodzili zupełnie bez broni. Gdyby Niemcom przyszło do głowy wysłać patrol w tym kierunku, byłoby rozbiłi całe nasze bezbronne zaplecze. W wążwie tym poległ kapral Michalski, który został przydzielony jako osłona do kapelana, ale w pewnej chwili krzyknął, że nie może wytrzymać, poleciał do walki i zginął. Tam poległ przednio lekko ranny Kujbica z 3 szwadronu a wielu z naszych ułanów zostało ciężko i lekko rannych. W końcu daliśmy upniecie za wygraną. Przesłaliśmy uważać na cokolwiek, paliliśmy papierosa i rozmawialiśmy głośno. Takie śmiałe zachowanie się prawdopodobnie oniesmieliło Niemców i dlatego nie odważyli się coś przedsięwziąć.

A jak zachowywali się jeńcy, kiedy ich odprowadzano?

Bardzo charakterystyczna była rozmowa dowódcy pułku z podchorążym niemieckim w rejonie dowóztwa 2 szwadronu. Dowódca pułku mówił świetnie po niemiecku, akcentem pruskim, co wprawiało Niemców w stan silnego zakłopotania. Oddział niemiecki minął majora i nie zauważył go, na co ten estalni zapytał się, czy w armii niemieckiej nie ma zwyczaju salutowania i zarzucił im zle wyszkolenie z powodu nieznanego ości stopni armii nieprzyjacielskich. Wtedy podchorąży ów zameldował się tak wspaniale, że od razu podbił sobie żołnierskie serce majora. Major zapytał się go, jakimi językami włada, to wołał z zircumalych względów po niemiecku nie rozmawiać. „Latinisch und algerischchich” odpowiedział podchorąży łudząc wielki entuzjazm w intelektualistycznych kołach purkowych. Na pytanie majora, czy nie sędzi, że wojna jest przegrana przez Niemcy odparł, że Fryderyk Wielki znajdował w czasie wojny siemioletniej w jeszcze gorszym położeniu, a przecież wygrał. Niemcy nie nie wiedzieli, że major przed sobą Polaków. Dziwili się tylko, że prawie wszystkie ich przeciwnicy mówią po niemiecku i pytali się, czy to są komandanci, gdyż nigdy nie widzieli, aby ktoś nacierał z taką furją. Kiedy autor powyższego raportu po dłuższej rozmowie z podchorążym chciał mu ofiarować tabli-

czkę czekolady, ten ostatni odmówił motywując to zakazem przyjmowania czegokolwiek będąc w niewoli, ale dodał bardzo uprzejmie: „Ich verstehe doch”. Jeden z jeńców prosił o papierosa, ale koleddy zakrzyzcili go, że oni mają dość i sami mu dadzą.

Inne morale wykazywał natomiast żołnierz niemiecki, którego wzięli do niewoli dwaj nasi ułani powracający po doniesieniu amunicji i mający jako jedyną broń drut do nakłuwania min. Ten Niemiec rzucił hełm o ziemię twierdząc, że jest mu już niepotrzebny i prowadził z naszymi ułanami rozmowę w języku... włoskim.

Na zakończenie zabawna historia. Przy jednym z jeńców znaleziono dwa listy gotowe do wysłania. Jeden był adresowany do jego żony, drugi do jakiegoś Marty. Jeniec numerował swe listy. Do żony list był dwudziesty trzeci, do Marty sześćdziesiąty z kolei. Qui ne te poties Bacce pater, teque decens Venus? (Któż nie ustąpi tobie, ojczy Bakhusie i tobie — Wenero?)

Na drugi i na trzeci dzień po bitwie odbył się jej epilog. Kapelan pułkowy, którego działalność na polu bitwy winna być stawiana jako wzór, zabrał flagę z czerwonym krzyżem i sekcję ułanów i poszedł na niedawne pobojowisko. Niemcy uszanowali czerwony krzyż defilujący przed nimi. Kapelan pobierał ciała zabitych i pogrzebał je w dwu wielkich grobach.

Osobny rozdział historii pułku stanowi działalność kapelana. Jest to ten ksiądz, którego opisywał niedgdy Melchior Wańkowicz na łamach „Wiadomości Polskich” i który w Tobruku co nocy lażał po stanowiskach. Oo tego czasu trzeba stwierdzić, że od początku gruntownie i obecnie znów rożniąc, ku przerażeniu dowódcy pułku, aktywność, polegającą na towarzyszeniu wszystkim patrolom i wypadem, w myśl swej zasady, że jego miejsce jest tam, gdzie znajduje się najmniejsza nawet grupa żołnierzy walczących. W bezpośrednim sąsiedztwie walczącego szwadronu, pośród pękających pocisków, udzielał 19 maja pociech religijnych rannym, gubiąc przy tym jeden ze swych dwu niewielkich krzyżyków na kołnierzu.

„Akcja, w której odznaczył się — pisze dowódca pułku — 3 szwadron ze swym dowódcą, na czele, przejdzie do historii pułku, wstawi nasze imię i z piśmie się jako chlubna karta w bitwie Polskiego Korpusu.

Franciszek Czerwiński

Wyjaśnienie

W związku z artykułem p.t. „Bitwa Polskiego Korpusu o Monte Cassino” wyjaśniamy, że mapa, o której mowa w artykule, została opracowana przez sztab Korpusu na podstawie pracy przygotowawczej saperów, przy pomocy Polskiej Służby Geograficznej, a wydana staraniem III Armii.

DWIE ROZMOWY

(Artykuł dyskusyjny)

Od rozstania we wrześniu spotkali się dopiero tu, w Jerozolimie, po przeszło trzech latach. Zdawało się, że tożsamość, że nagle powróciła jakaś cząstka dawno utraconej, drogiej rzeczywistości i że możliwość spojrzenia sobie w oczy jest obdarowaniem nieoczekiwanym. Zanim zamienili jakieś słowa — wiedzieli o sobie z uśmiechu oczu, że w żadnym z nich nie zgasa rzecz najważniejsza — odwaga spotkania życia ciągle otwartym sercem.

Po pierwszych beztędnym wypytaniach o swoje przejścia, o bliskich, o rozsiane groby, o siły nadziei i o siły wrogów — zamiarzieli dziś, w urlopową niedzielę „coś zwiedzać”. Stefan oczekiwał na przybycie autobusu i namyślał się, co też siostrze pokaże. Zaledwie jednak dojrzał jej drobną, zmizrowaną twarz i spojrzawszy ku niemu pozornie „głuche” oczy — znał to jej spojrzenie ku własnemu myślowi zwrócone — odczuł ogarniający ją niepokój.

— Wiesz Stef, nie chcę dziś nic widzieć. Tyle myśli trzeba uporządkować i muszę wiedzieć — jak pyta Balański — „czy ty jesteś wierny, bo ja zawsze wierna” naszym marzeniom o...

— Czekał, Krysto, czekał. Wyjdzie w cięższe miejsce, znam tu taki kąt... Przeszli szybko stare miasto, wyszli bramą Sjońską i znaleźli się na zbrocu, nad otwartą doliną. Zatrzymali się chwilę przy wykopaliskach prawdziwego „miasta Dawidowego”, gdzie snuło się życie ludzkie w kutchach w skałach, malutkich podwórkach i piwnicznych izbach. Krysta zglądając z góry w to lalkowe prawie objęcie powiedziała — „Prawda, jak to naturalne, że cały świat myśli ówczesnego człowieka był tak ciasny, jak jego podwórze. W domu nie tylko się mieszka, ale go się nosi w sobie”.

Siedli na stoku wzgórze, w rozpięchym cieniu pieprzowego drzewa i spoglądali dłuższą chwilę na głęboką dolinę, rozpoczynając ją bieg swój ku Martwemu Morzu.

— Powiedziałś mi Stef, że w tym strasnym roboczu opieraś swoją nadzieję przede wszystkim na tym, że naród nasz nigdy jeszcze nie znalazł takiej powszechności przeżyć narodowych, takiej zatem masowości uczestnictwa w walce, że w tym dorównaniu ludu wiejskiego do patriotyzmu tkwi siła obrzydyma — zupełnie nieporównywalna do siły walk poprzednich, gdy występowała grupa... Wspaniała, ofiarna, ale zawsze grupa, ciągnąca innych mniej lub więcej przymusem... Słuchając ciebie czuściliśmy się, że tak wierzysz, ale sama wątpiłam. Myślałam, że oto bierziesz swą tęsknotę za prawdę...

— Gdybyś widziała wrześniowe walki, zachowanie się żołnierza i stosunek tych wszystkich młodych, których mobilizacja nie ogarnęła... Przy tym na pewno to strasne zjawisko, występujące przez półtora wieku naszych walk o wolność, które Piłsudski nazywał „żołnierzem bez ojczyzny” — przemienilo już bezpowrotnie...

— Tak, tak właśnie przemyslałam to wszystko, masz słuszność, że przez te kilkanaście lat dwadzieścia zaszła wielka przemiana. Miałam poprzednio na myśli starszych, a zwłaszcza starszych mężczyzn, tych jedynie mogłam obszarować na zesłaniu... Młodszy, jak wiesz, nie byli z nami, a w karnych obozach pracy. N. z. ze znaną to nam — kobietom — przypadało zażbyć często rolę utrzymania postawy moralnej całej gromady, nie mówiąc już o jedno-tkowej pomocy starszym... Ale to kiedyś, osobno, o tej karcie siły kobiecej... — A wiesz, że stał mrok na obiektywizm. Ty myślaśś właśnie o młodszych, o wychowa-

nych już w Polsce niepodległej. Uprzytomniał też sobie, jak wspomnianie rosto to jeszcze młodsze pokolenie. Nie widziałeś chłopców naszych na zesłaniu, w tych strasznych warunkach głodu i poniewierki... Mówię ci — chłopcy z Amicis'a, ryterskość i duma narodowa... Gdy chodziło o swoich — ofiarnością niemal samobójczą, a wobec obcych ambitną walką do końca, nieraz do głodowej śmierci.

— Wiemy jednak, Krysto, że największego znaczenia jest świadoma tradycja, która kształtuje grupę walczącą. Mielismy oddawna wielki i święty skarb narodu gromadzony przez polską myśl walczącą, ale w okresie niewoli był on dla masy ludowej ciągle niedostępny. *Dopiero państwo niepodległe wzięło jako podstawę wychowania nie jakieś zapożyczane z drugiej ręki ideologie, ale dorobek własnej polskiej myśli.* Nie potrzebował wreszcie Mickiewicz pod strzechy „błądzić”, ani Sienkiewicz czy Żeromski; otworzy się szeroko wrota narodowego skarbcza. Stąd i tui chłopcy „wszystkiego dziedzic”...

— To prawda, upowszechniły się przeżycia narodowe i został im nadany charakter. To też nasze siły moralne są istotnie daleko większe niż kiedykolwiek... Ale jakaż potworna skala zniszczenia została rozpętała! Nasi wrogowie, wśród których życie nam wypadło, nastawili już wiele razy na zmiadzenie nas. Tym razem z bezwzględnością największą, bo przy świadomym odrzuceniu wszystkich hamulców. Ani zasady chrześcijańskie, ani obyczaje humanitarne — zdobyłce kultury europejskiej, ani nawet najbardziej oschłe przepisy prawa międzynarodowego — nie nie ma nas bronie. Czyż te próby zniszczenia powtarzać się będą bez końca — aż zwyciężą?

— Oczywiście, Krystyno, że na wygaśnięcie napastniczej woli nie można liczyć. *Temu niebezpieczeństwu może kręś potężny silny, obronny związek państw leżących między Rosją a Niemcami.* Dawniej Unia Polsko-Litewsko-Ruska stanowiła opór przeciw złym sąsiadom. Rozpręgała się jej siła przez waśni polsko-ruska. Kresowi magnaci ze swą pasją dorobku na chłopach pańszczyźnianych i rosyjskie obłudne kuszenia Ukraińców dokonywały swego. Od wojen kozackich już się właściwie Polska nie odźwignęła. Pamiętaj, jakismy się spirali z dwóm Jankiem, który wbrwł ogólnemu prądowi nie tylko uważał za konieczne dobre współzycie z Ukraińcami, ale nawet chciał szeryć ideę walki z z Rosją o niepodległą Ukrainę? O ileż łatwiej uzn. libysmy teraz, że realizacja układu Panski-Petura jest koniecznym składnikiem bezpieczeństwa Polski...

— Czekał Stef, nie obbiegaj. Chcę, byś myślał razem ze mną o jeszcze trudniejszym. Wiem naturalnie o idei tego związku narodów między Bałtykiem a Czarnym Morzem. Nagano o tym wiele — czemuż przez ćwierć wieku nie się nie stało? Teraz na różne sposoby deklamuje się o federacji szerszej, węższej, luźnej lub ściślejszej... Ale — wiesz, dziwnie mi się wydaje ta sprawa amercyjna w do tychczasowym gadaniu. Rozmawiam o wspólnym niebezpieczeństwie ma zespółić tak różne i tak skłócone narody. Powiesz — nie rozumowanie, tylko dosadna nauka tej wojny. Otóż groza niebezpieczeństwa jest silną tylko ku bliska — na dłużej nie działa, szczególnie na mas. Oto od szeregów lat wisiała napaść niemiecka — a żaden z krajów Europy nie skupił wszystkich sił ku obronie. Nawet mi, choć wyróżniało nas większe poczucie niebezpieczeństwa, dziś mamy sobie nie jed-

no do wyrzucenia. Myślę przeto, że utrzymać zgodne działanie i ofiarności w grupie narodów tylko w imię jutrzejszej obrony — to prawie niebezpieczeństwo. Dawniej działali interesy dynastyczne, kościelne... Zresztą decyzja nie leżała w ręku mas, które zawsze niechętnie wyrzekają się czegoś dla jutra. Mogłyby to czynić chyba wyłącznie dla wielkiego, *zdobyczego celu* — wcale nie koniecznego zaborczego — ale tworzącego ciągłość dziejowego zadania i wspólny proces działania. Cóż będzie tą nową ideą, która w latach pokoju wesprze konieczność polityczną? — Mimo lat rozstania, Krystyno, jakże podobnie biegały nasze myśli. Szukam, jak ty, sensu nowego okresu historii, który przyjdzie po tej wojnie, może już i po nas. Szukam przede wszystkim wyraźnego ujęcia losu, misji — jeżeli wolisz — naszego narodu. Czeką go przecież znowu inne jutro.

Dawne zadanie Polski polegało na rozwinięciu w sobie elementów kultury zachodniej i pociągającej za sobą, ku tej kulturze sąsiednich szczepów czy narodów, by następnie razem przeciwstawiać się wschodowi. *Jutro, oprócz teźże roli obronnej, mamy nadto obowiązek dalszego, samodzielnego rozwijania kulturalnej treści Zachodu u nas i w naszym otoczeniu — w warunkach, których Zachód nie przeżył.*

— Czekał, nie rozumiem. Dotychczas z pewnym opóźnieniem i oczywiście z pewnymi odmianami przechodziliśmy fazę kultury zachodniej. Czyż myślisz, że te wspólne drogi muszą się rozszepścić?

— No tak. Zachodnia Europa, a z nią Stany Zjednoczone przechodzą skrajną fazę kultury burżuazyjno-kapitałistycznej. W ostatnim wieku nastąpiło tam uprzemysłowienie i umiastowanie, jakie nie może się już stać udziałem całej reszty Europy. Zmieniły się głęboko warunki gospodarcze świata i linia rozwojowa Europy wschodniej nie powtórzy już Zachodu, a przeobrazi się w linię własną. Zaszły dwa zjawiska ogromnej doniosłości. Zanikanie wsi na rzecz miasta, jako skutek rozwoju przemysłu i handlu, utracilo swój rozmach sprzed pół wieku. Postęp techniczny spowodował, że przemył zatrudnia stosunkowo niepomierne mnij ludzi; nadto przemysł obliczony na eksport nie ma widoków, gdy w każdym niemal kraju powstaje przemysł własny. Po drugie: ciemna przed wiekiem masa wiejska, która nie uczestniczyła wcale w formowaniu stylu kultury, dziś — biorąc coraz pełniejszy udział w życiu narodu — oczywiście nie poprzestanie na chłopską kulturę burżuazyjno-przemysłową, którymi ją głównie karmiono, a będzie wpływać sama na kształtowanie elementów kultury sobie bliższej. Współczesnej, a przecież związanej z życiem wsi, wystającej z udziału człowieka w całości świata, a nie z dorobkiewiczowskiego poczucia *twórczości techniki* i handlowych spekulacji. (Ogromna część naszej inteligencji miejskiej nawykła myśleć, że tylko w jej grupie odbywają się twórcze procesy kulturalne i w obawą przyjmuje możliwość pojawienia się innego ośrodka krystalizacji. W prawdopodobnym wysunięciu się wsi do patrzącej się schamienia kultury, a w każdym razie urwaną jej ciągłości przez przeciwstawienie nowych składników dawnym.

My, którzy pracujemy nad przekazaniem ludowej masie całości dorobku kultury narodowej i pogłębianiu świadomości kulturalnej — wiemy dobrze o tym, że z elementów kultury własnej nie wyróżnie nigdy jej zaprzeczenie. Tak bywa tylko z zaszczerpianą obcą ideologią. Racjonalistyczny

materializm marksowski na pierwotnie rosyjskiej dzicze dał przeraźliwą destrukcję. Natomiast rycerski idealizm skandynawski, przechodząc z zamków do wiejskich osiedli nie zagubił się, tylko doznał uczuciowego pogłębienia.

— Dobrze Stef — podzielimy niechęć do tego zwłniczenia równowagi w rozwoju kultury, jakie zaszło na Zachodzie. Musiło ludzi spłyć i niejako zmechanizować to przesunięcie całego nacisku na cywilizacyjny dorobek, na technikę. Ale nie wiesz, jeszcze, czemu w odyskaniu równowagi w kulturze naszej chcę szczególnie rolę nadawać krajom Europy wschodniej, a nam wśród nich? Ludność rolnicza Francji, Niemiec czy Danii, choć nie stanowi większości narodu, jest na tyle poważną grupą, że może doskonale odegrać rolę odróżniczącą dla całości życia. Przecież ona na pewno także dorosta do świadomości narodowej, upomniała się o swój udział i zwiększenie roli czynników wiejskich jest tylko kwestią wykazania przez nie odpowiedniej siły i wartości.

— Masz słuszność, że nie jest tu decydującym ilościowy układ ludności, choć na pewno nie jest bez znaczenia, że narody między Bałtykiem a Morzem Czarnym mają przeważnie ponad 60% ludności rolniczej i mimo uprzemysłowania z pewno jeszcze na dziesiątą lat zachowują przewagę wsi, wówczas gdy Zachód ma tylko od 10 do 30% ludności rolnej. Naturalnie ważniejszą jest dynamika rozwojowa i postawa ideologiczna. Wiś na zachodzie to już w znacznej mierze grupa szcztakowa, zanikająca, a w lepszym wypadku to świadomie podtrzymywany rezerwat łożyski i świeżości fizycznej. Pepiniera hodowlana narodu wg ideologii hitlerowskiej. Przeważnie już od paru pokoleń wieś systematycznie tam traciła na rzecz miasta wszystkie jednostki zdolniejsze i ruchliwsze. W tych warunkach wieś musiała zatracić wiarę w siebie i idealizację stanu wiejskiego. U nas i u sąsiadów naszych w koło, zupełnie inaczej. Odplyw do miast był tak mały, że nie wyczerpowały nawet grupy ludzi przygotowanych przez wykształcenie do porzucenia wsi. To sprzyjało rodzeniu się nowej ideologii wiejskiej i stwarzało świeży dynamizm tej warstwy.

Sądze, że idzie czas rozwinięcia nowej jazy kultury zachodnio-europejskiej opartej o nową wieś, o wieś XX wieku, której Zachód już nie znalazł. I te fazę musi wykształcić grupa wschodnich narodów Europy z Polską na czele.

— Nowa wieś, mówisz. — Ona dopiero się rodzi. Ta, którą znaliśmy, była jeszcze formą przejściową po poprzedniej epoce pańszczyźnianej. Zmieniły się już normy prawne, zmieniły się stosunki gospodarcze, a dopiero z nimi szły ku zmianie obyczaje i same dusze ludzkie dojrzały do wolności. A żyć na codzień w prawdziwej wolności — wcale nie jest łatwo. Nieraz musiałam patrzeć jak niewolniczy, policyjny ustrój nieprawia życie do samej głębi. To, co stanowi ostateczną życia ucieckę i najpokorniejszą radość człowieka — samo doznanie działania się życia, niemożonożonego jego trwania — i to można odebrać. Tylko człowiek wewnętrznie wolny potrafi zastąpić sobą ten pomyłek od uduszenia we mgłę niewoli. W kulturze zaś zachodniej zaczęło zamierać wolne życie nie z ucisku ustroju, a w zależnej obreczy technicznej cywilizacji.

Otóż to czuje doskonale, że *młoda wieś współczesna ma więcej danych od innych grup społecznych do zwy-*

(Dalszy ciąg na str. 9)

(Dalszy ciąg ze str. 8.)

jęskiej obrony życia przed kaleczącą jednostronnością. Wyda ci się Stefkę o porównaniu przesadnie, ale doprawdy u podstaw narastającej ideologii nowej wsi leży jakby renesansowa wiara w pięknego, pełnego człowieka. Przez tak zwane produjące warstwy społeczne wiara ta była dawno przeżyta i utraciona — wieś ją znawia. A bez takiej wiary w zakresie kultury nie buduje się nic trwałego.

— Ale wiesz, aby pretendować do tworzenia nowej fazy kultury, trzeba mieć zdolność przeobrażeń bardzo wszechstronnych. Myślę np. o sztuce. W ocenie wartości sztuki ludowej tkwi bardzo wiele nieporozumień. Większość inteligencji interesującej się nią, a nawet posiadającej pewne jej znawstwo, ceni w niej wyłącznie cechy konserwatywne. Nie mówiąc już o tych, którzy po prostu te sztuki traktują w płaszczyźnie gablotki muzealnej, ale i ci deklamujący o wpływie jej na życie, rozumieją to w kategorii rozszerzenia konsumpcji tradycyjnych polskich elementów sztuki. Nastka ze Stepanówki powtarzając gustownie na kilimie motywy pasa słuckiego, podniesie poziom urzędzenia mieszkania państwa dyrektorstwa... To także użyteczne, ale rozumiesz, jak stąd daleko do udziału sztuki w tworzeniu wartości kulturalnych nowej epoki. Otóż podobnie we wszystkim. Czuję jak ty te dobra postawę wsi naszej, jej wielkie przyszłe możliwości — czy nie przeceniasz jednak siły tych zjawisk w bliskim czasie?

— Nie, nie Krystyno, tylko porozumiejmy się dokładnie. Przecież dla sprawy łącznej pracy narodów w koło nas nie tyle jest ważne ostateczne osiągnięcie, ile dążenie wspólne do celu. Wiedzą ma tu znaczenie strona dynamiczna, jak statyczna. Ocenie trzeba w pierwszym rzędzie, czy się trafnie odgaduje narastający tok przemian, błąd tutaj byłby klęską. A następnie rodzi się musi pytanie, czy budzona świadomość wspólnej drogi w przemianie kultury istotnie może być lepszemu celowi grup narodów, czy tego rodzaju cel zdobywczy może rozplamić wyobraźnię najcenniejszych w każdym narodzie duchowych jego przodków.

Jestem pewien, że wieś nasza nie jest dążenia do przeobrażeń kultury w stopniu wyższym niż inne warstwy. Ma za sobą rozpęd korzystnych przemian dokonanych w ostatnim ćwierćwieczu, przemian oświatowych, gospodarczych i uprawnień w życiu oywatelskim. Równocześnie rozwój ideologii robotniczej, socjalistycznej doznał ciężkich ciosów przez znaną realizację socjalizmu. Proletariat utracił wiarę, że nieśie standard postępu na czele ludkości. W grupie inteligencji miejskiej, zwłaszcza wśród młodych, zarysowało się raczej wanie na rozdrożu między totalitarnym faktowaniem masy społecznej, jako biernego materiału do technicznej obróbki, a między sceptycznym wygradzaniem swego grupowego życia i szukaniem zabezpieczenia mu spokoju zastużonych...

— Ale Stef, nie krzywdź polskiej inteligencji. — Pamiętaj, że i ta ostania ożywcza przemiana wsi dokonała się w ogromnej mierze trudem i myślą owych Judydymów i Siraczek. Wielka grupa potrafiła, bez pretensji do przywileju duchowego przewodnictwa, po prostu stanąć do pomocy narastającej, przyszłościowej sile.

— Nie będę się Krysto, spierał o to, czy wielka grupa... Na pewno na ówni z tobą chciałbym, by taka postawa była najpowszechniejsza. Sądzę, że jest właśnie czas, by budzić wiarę, że nowa, twórcza rola wsi może stać się czymś więcej, niż tylko naszym wewnętrznym zagadnieniem przesuwania się ku niej ośrodku energii w rozwoju narodu. *Przyszłość nasza między narodami, a może nawet samo istnienie nasze bezpośrednio zależy od tego, czy potrafimy spełnić wielką misję dziejową, związując całą*

grupp młodych, przeważnie chłopskich narodów we wspólnym wysiłku budowania i obrony nowej fazy wiejskiej kultury europejskiej.

Niedzieli następnego dotarli na Górę Oliwną. Przed oglądaniem świątyni i pamiątek oficjalnych — zobczyli do cichego, opuszczonego ogrodu.

Krystyna oparta o stary, pokrecony pień oliwki zapatrzyła się w odwieczne miasto, rozeseane nisko, w blasku słońca.

— Jakże trudno jest pojąć — co za konieczność tkwiła w starym świecie, że proste, gorące słowa miłości rzucane z tego zakątka tak zawyżyli na losach ludzkości. Jakże spragnionym sercem czekali widać zapewnienia sprawiedliwości — jeżeli nie tu, to choć za grobem... A może kultura ówczesna pełna już była jałowości i zmęczenia w pogoni jednostronnej za bogactwem i użyciem? I czy obecnie nie są to znnowu czasy przesyty i ideologicznej pustki?

jesteśmy na schyłku pewnej epoki kulturalnej, to jasne...

— Chciałabym bardzo, żeby nasza krytyka Zachodu nie przypominała w niczym prostackiej pychy rosyjskiej. Oni od półtora wieku mówią o „zgnitym zachodzie“, przeciwstawiając swoją świeżość. To przecież niezrównana wschodnia obfuda, gdzie słowo zupełnie nie obowiązuje, raczej jest wprost obce rzeczywistości.

— Staram się zawsze, Krystyno, słowa nie nadużywać... Podam ci tok myśli, który już wielokrotnie sam przebywam, a nie mam wciąż poczucia pewności we wnioskach.

— Cóż cię onieśmiela?

— Właśnie — onieśmiela. — To ambitna rola, może nadmiernie trudna, jaka by przypadała Polsce w prostowaniu zabłąkanych ścieżek Zachodu. Przyjm więc to, co powiem, jako głośne myślenie...

Otóż, czy dziś tak, jak przed chrześcijaństwem panuje przesyta i zja-



Jeńcy niemieccy wzięci do niewoli pod Cassino

— Myślisz Krysto chyba wyłącznie o Zachodzie, gdzie rozkwit cywilizacji materialnej zatopił w dobrobycie porwy ducha. Gdzie zatroskanie ptyziennie poszło tak daleko, że pozbawiło niemal zdolności do walki, nawet w obronie swego posiadania. Przy naszej względnej biedzie — jeżeli nawet tylko powtarzamy ich rozwój — to zło nie zdążyło jeszcze się stać. Wykazaliśmy pełnię energii i nieustępliwość bojową. Nie ugruntuowało się w naszej polityce dyktando nagromadzonego bogactwa — nie jesteśmy, chwalić Boga, ani Czechami, ani Francją...

— Naturalnie, myślę o Zachodzie — o właściwej kolebce naszej kultury. — I wiesz... Mówiliśmy ostatnio o rozwoju Polski i otaczających ją narodów po torze odmiennym, niż poszedł Zachód... Otóż, mimo to, że cenie łączność rolniczych narodów, że rozumiem ich wspólny los polityczny, na tym rozdrożu między zaborcami, i mimo mój sentyment do stylu życia wiejskiego — nie mogę się pozbyć niepokoju, gdy zarysowana droga miałaby nas oddzielić od starego trzonu zachodniej kultury. Z niej czerpaliliśmy podstawy, w jej zasięgu i chłonąc jej wpływy rośliśmy dalej. Gdy się drogi rozeszły — czy ustojmy sami pod naporem wpływów innych — zwłaszcza ze Wschodu? Nadto czy Zachód nie utraci wtedy — i tak niesławnej zdolności pojmowania nas i oceniania naszej roli?

Dużo jest chyba słuszności w twierdzeniu, że każdy naród we wspólnej grupie kulturalnej musi do niej wnieść swój wkład. Jakż mógłby być ten polski wkład, gdy rozejdą się drogi? A roztawiamy się na zakręcie historii rozdzieli najłatwiej — to się nie da później nadrobić.

— Rozumiem te obawy — jeżeli jednak pozostaną wspólne podstawy powojennych przeobrażeń, to odmiennosci cech kultury wynikająca ze środowiska — bardziej wiejskiego, czy bardziej miejskiego — nie byłaby zatrważająca. Trzeba jednak wyraźnie ująć, co ma być owa wspólna podstawa przeobrażeń. Ze one idą i że

ki doznawać może radości dobrze służąc społeczeństwu. Znany te przykłady: szkoła, pracownie naukowe zespół artystyczny, czy sportowy. Tam zatracą się odrębność własnych wyników na rzecz wspólnego dobru...

— Wiem że to możliwe. Być może, że ten proces uspołecznienia się ambicji dokonywa się z wolna — ale technika brutalnie wyprzedała społeczne wyrobienie. Wspomnij socywiłki kolektyw rolny. Poczucie wspólności dobra miało zastąpić interes własny. I cóż — przeważnie wypadła karykatura zamierzenia. W fabrykach góruje świadomość, że nie pracuje się dla potrzeb ludzkich, a tylko na zysk dla przedsiębiorcy — jak określił to jeszcze Ruskin. Zbiorowa ambicja zespołu mogłaby tam urastać dopiero przy zmianie stosunku kapitalisty i rozwijaniu udziału robotnika w zarządzie fabryki, a zwłaszcza w organizacji pracy. Stan dotychczasowy to coraz większa jednostronność wysiłku robotnika i coraz większa odległość od radości celowości pracy.

— Do wykazania, że skrajnie uprzedmiotowiony zachód będzie rychło terenem innych konfliktów społecznych niż te, które znamy. Walki o podział dochodu społecznego nasycały dzieje ostatniego półtora wieku. Złagodniały pod wpływem wyższego poziomu dobrobytu. Robotnik uzyskał na zachodzie dostęp do tychże rodzajów uciech, co bogacze. Nie stał go na Roll-Royse, czy Chryslera, ale ma swego Forda, swoje radio. Nie odbywa podróży własnym jachtem, ale robi wycieczki zbiorowe, podziwia te same filmy, itp.

Nadto przestało to już kogośkolwiek zdziwić, a wojna szczególnie to utrwaliła, że władza wkracza w sprawy gospodarze obywateli. Broni słabszych przed wyzyskiem, przesuwają plony pracy od bogaczy ku zbiorowoci i łagodzi tym silnie spory i napięcia nienawiści. Łatwiej jest nieść wysiłek na rzecz ula niż na rzecz trutni. Nie doznał jednak przez to zmiany charakter pracy.

Natomiast jest przeto wyobrażanie sobie, że i nadal przedmiotem rozgrywek społecznych będzie tylko skala życia materialnego. Rozpoczenie człowieka walkę o przywrócenie sensu pracy i obali to kupieckie bożyszcze „wydajności pracy“. To ideał dobry dla mrowiska, tam wystarcza tzw. walki specjalista. Stąd zaś rośnie i adoracja wyłącznie fachowego kształcenia człowieka.

— Pamiętaj jednak, że tak ogromnie się rozrosła wiedza ludzka, że niepodobna opnować całości. Nie chcesz chyba zwalać z podziału pracy i specjalizacji w ogóle. Przecież i zaniżowanie ludzkie są różnorodne.

— Tak, naturalnie — ani też chce walczyć o zniszczenie nas dłużej ze człowiek jej nadużył, będą walczyć o możliwie rozległe wianie człowieka poza obramami cjalności. Kształcenie „wg za jednych na przywódców, innych posłusznych wykonawców stylone krzywdy. Szkoła polityki Hitlera mówi głośno, że dla w Hitlera prac fatnych dobra jest dyc analfabetyzmu“. Kult „wydści“ w innych krajach nie jest brutalnie szczyry, ale jednak i za zębne w umyśle człowieka wko, co nie służy wydajności. Poisce było sporów o tzw. anystety wiejskie z tego powodu nie służyły kształceniu zawodow. Skromne 5 miesięcy, jedynie w młodego obywatela wsi powiśle jego rozwojowi, poświęcone sfc waniu postawy wobec życia i pniu zadań obywatelskich — i te wykrywane przez kapitanów prod jako tracone dla umiejętności p a co gorsze, zużyte na krzew aspiracji oderwanych od „realn życia i budzenie zbędnych żc Ba, toć nawet program szkoły wszechniej na wsi był krytykow

(Dokończenie na str. 10.)

DWIE ROZMOWY

(Dokończenie ze str. 9.)

za nadmiar wiadomości ogólnych. A wobec wielkiej fali słuchaczy w wyższych zakładach, obrońcy kasty inteligentkiej wymyśliłi wspaniały termin: „nadprodukcja inteligencji”.

— Ale, Stef, odbiegasz od sprawy nowych konfliktów społecznych na zachodzie...

— Nie, nie odbiegam wcale... Sprawa stosunku człowieka do pracy i sprawa jego kształcenia stanowią nierozłączną całość. Albo budujemy w człowieku własną jego świadomość siebie wartości i wówczas poprzez nią jest pożądanym, użytecznym członkiem społeczności — albo tylko w nim, jak w aparacie fizjologicznym dającym się wykorzystać dla celów produkcji, lokujemy pewną sumę umiętności i tylko dla niej człowiek coś znaczy. Założną jest wówczas istota ludzka poza swoją sprawnością. Nie wzbogacano jej treści — obrabowywano tylko z nerwowej energii na uzupełnienie maszyny. Ironią się stają rzekomo hojnie mierzone godziny wypoczynku, zieleń z nich pustka świadomości egzystencji. Przesuwa się tłumnie koło nas zubożały szczełek, wyszana skorupa — banalna w swoich potrzebach i jałowa wobec ludzi. Jedynie bodźce poruszające ją głębiej, to znówuż że świata techniki — rekordy wydajności, skuteczny podbój świata towarem, większe bogactwo. *Kto za przapnie wywołali robotnika z roli trybu w maszynie sięgnie naturalnie i o wyższy poziom kształcenia.*

— Tak, wiemy, że ono jedynie pozwala przeżyć życie z samodzielną myślą, daje ogarnąć szerszą świadomością zjawiska otoczenia, przynosi ciężką i ambitną odpowiedzialność za tak ułożony ludzki świat — ono także otwiera dostęp do grupy kierowniczej w społeczeństwie. Ale wiemy, Stef, że te rozkosze nie wszystkim mogą być udziałem, często nie starcza wrodzonych sił umysłu i wówczas zaświ o przywileju kształcenia jest tylko rozkładowym czynnikiem...

— Ach, naturalnie muszą być odrębności i w tym bogactwo życia, ale chodzi o istotne otwarcie przed wszystkimi drogami na skalę ich możliwości. Dziś przywilej kształcenia — to kilka lat młodego życia wolne od pracy, które społeczność zabezpiecza kandydatowi na inteligenta: Obojętność, kto te lata oplaćca, rodzina, fundusz stypendialny, czy państwo. Odbarowywają zaciąg wobec społeczności niewątpliwie zobowiązanie. Niestety, nie zawsze to rozumie, często ten pierwszy przywilej traktuje jako wstęp do dalszych: — do lepszych zarobków, szybszej kariery, do władzy nad nad ludźmi. Potęguje to gorczyzku inteligencji ze strony tych, którzy sami przywileju kształcenia nie osiągnęli, zapewniając go innym swoją pracą.

— Czemu to zagadnienie wydaje ci się aktualniejsze jak przed wojną? Istniała i dawniej i dojrzenie jego chybca wojna opóźni. Zniszczenie gospodarcze nakazało troszczyć się najprzód o przywrócenie dobrobytu przy tym okropnie zmęczenie wojenne wyrazi się szukaniem spokoju.

— O tu dopiero mogę uchwycić swoje stepowe opóźnienie w poznaniu wojny. Ale mówią serio, to w Rosji może i poza stepem różnice stanu podcza wojny nie były jaskrawe — gładziła się i zbroń forsowna i przedtem. Natomiast Zachód dopiero po wybuchu wojny podjął zbrojenia i przez całe trzy lata rozwijał tylko produkcję. Taśma i wydajność stały się przedmiotem adoracji nie tylko techników i przedsiębiorców, ale wobec konieczności wojny zostały urzędowo postawione na ofertę. Masowo wpechnięto człowieka w ten rodzaj produkcji, nawet kobieta musiała opuścić dom i stanąć przy taśmce. Zmęczenie powojenne będzie także

zmęczenie maszyną i zmechanizowanym człowiekiem. Myślę, że zyskując popularność hasła innego sensu pracy i tęsknoty do pełniejszego życia, choćby za cenę obniżenia standardu spożycia. Rozwinie się silnie dążenie do samorząd robotniczego w fabrykach. Przez ich udział w zarządku będzie lepiej rozwiązana higiena pracy, znajdzie się pole dla rozwoju ambicji zespołowych i stosunek do wynalazków oprze się na zbiorowym interesie.

— Dobrze, to uznaję i jeżeli masz słusność, że osiągnięty dobrobyt nie będzie na długo przez wojnę zniszczony, to ten kierunek przemian jest bardzo prawdopodobny. Tam, gdzie dobrobytu nie zaznano — w Rosji, jeżeli tylko ucisk władzy osłabnie, tendencja będzie odwrotna; rzucą się do podnoszenia skali życia. Tak, oni nie mogą nawet towarzyszyć Europie w jej przemianach, są w zupełnej innej kulturalnej fazie... Ale nie mi nie mówisz jeszcze o roli Polski —

— Pozwól, że ustami najprzód, czym się jej sytuacja różni.

Nie zabrnęta tak głębiej na świat maszyn, na więc mniejszy odsetek ludzi tak zmechanizowanych i ślepiących, że aż nieuczulych na obaleczenie. Łatwiej jej będzie wycofać się z pewnych form chorobliwych, a w tworzonym nowym przemyśle ustawić rolę człowieka mniej go krzywdząc. Również mniej jest Polska pogrążona w wąskie specjalne kształcenie i o wlecie demokratycznie niż inne kraje traktowała sprawę kształcenia wyższego. Było ono tańsze i szeroka skala pomocy stypendialnych ułatwiała dostęp. Wkładano też nieraz olbrzymi wysiłek, by wyższy poziom kształcenia osiągnąć, gdyż był on u nas wymagany, zwłaszcza w pracy urzędniczej, niepomierne częściej niż w Anglii, Francji czy, Belgii. Wreszcie wyróżnia nas bardzo zaszczytnie poziom kształcenia kobiet grupy inteligentki. Tu po prostu nie ma skali porównawczej z Zachodem, gdzie przez aże nie utrzymano kobietę przy zajęciach domowych (droga praca służy domowej silnie tu zawazyła).

I jeszcze jedno. Nasza grupa inteligentka była spadkobiercą tradycji walk o wolność, uważa za naturalne, że zadania najtrudniejsze i ofiarne jej przypadają.

— Tak, tak — pełni je lub ich nie pełni, ale zawsze sądzi, że to jej właśnie się należy zaszczyt przotłownictwa i w sensie rozkazu i w sensie ofiary.

— Otóż właśnie, a dla sprawy tak trudnej jak zmiana charakteru pracy i rozszerzenie przywileju kształcenia możliwie na całe społeczeństwo konieczne jest, by grupa posiadająca te przywileje dotychczas, nastawiona była nie na ich eksploatację, a wprost przeciwnie, na ich upowszechnienie. Bezinteresowność posunięta do skrajności i trwałe ideologiczne napięcie!

Mwle — przypominij tu moje zastrzeżenia — że *Polskę winno być stać na to, by tak jak kiedyś próbowała upowszechnić przywilej szlachcki, umiała teraz wsię sama i wprowadzić janych na drogę powszechności prawdziwego kształcenia i przywrócenia wartości pracu. By umiała w tym nie ustać i nie zatonać w pół drogi jak to zrobiła Polska szlachcka w upojeniu pżorami wolności.*

— No, to nie bądź Stef nieśmiały. Byłby to istotnie godny nasz wkład do wspólnej kultury zachodnio-europejskiej i naturalnie musiałoby tu życie — bez szkody dla całości, — oddać odrębne ścieżki realizacji dla społeczeństw — przeważnie miejskich i dla tych, przeważnie wiejskich, do których my na szczęście należymy.

Tomasz Orawski

Polityka zagraniczna U. S. A.

Wiosna br. była okresem wielkiej rewizji amerykańskiej polityki zagranicznej. Zbliża się koniec drugiej wojny światowej i Amerykanie obawiają się, czy ich polityka nie powtórzy błędów, jakie popełniła po pierwszej. Departament Stanu znalazł się w marcu i kwietniu pod ostrzałem opinii publicznej, która go silnie atakowała za niedoczekanie i brak linii w polityce zagranicznej. W pierwszym zeszycie kwietniowym tygodnika „Time” znajdujemy opis pierwszych rund tej dramatycznej walki. W pierwszej rundzie zabiera głos sam Roosevelt i tak formułuje cele wojenne Ameryki: „Narody zjednoczone chcą wywalczyć świat, w którym niemożliwa byłaby tyrania i agresja, świat, oparty na wolności, równości i sprawiedliwości, świat, w którym wszyscy ludzie — bez względu na rasę, kolor i wyznanie — mogliby żyć w spokoju, honorze i godności.” Prezydent zakończył swoje oświadczenie apelem do wolińców Europy i Azji, by otworzyły granice swych krajów dla ofiar ucisku. Zapłany przez dziennikarzy, czy to samo zrobią Stany Zjednoczone, odparł, że taki plan nie istnieje, ponieważ jeszcze za mało osób oświadczyło, że „Time” pisze, że w świetle tych oświadczeń polityka zagraniczna U. S. A. jest „dalekością od ideałów, ale przyrkością w planach”.

W drugiej rundzie głos zabiera Cordell Hull, sekretarz stanu U. S. A. Formułuje on politykę zagraniczną swego kraju w siedemnastu punktach, w których jako cele wojenne wymienia: pokonanie wrogów narodu amerykańskiego, oraz zapewnienie krajowi dobrobytu i bezpieczeństwa socjalnego. Cele te mają być osiągnięte przez współdziałanie dobroświądczych narodów, przez utworzenie międzynarodowej agencji do utrzymania pokoju, przez trybunał światowy, ograniczenie zbrojeń, redukcję ograniczeń handlowych i stabilizację walut. „Time” pisze, że w tych punktach nie było „nic nowego i konkretnego”. Zapytany przez dziennikarzy, jak te zasady zostaną zastosowane np. do Polski, Włoch, Hiszpanii lub Argentyny, Hull odpowiedział, że nie chce uprzedzać mowy, którą ma niebawem wygłosić przed radą. Przed tą mową Hull wygłosił przemówienie na posiedzeniu senackiej komisji dla spr. zgr. i stwierdził, że głównym celem zwycięstwa jest „osiągnięcie jak najszybszego i najczystszej formy pokoju”. „Time” pisze, że wszystkie inne zagadnienia sporne odłożył do konferencji pokojowej.

W trzeciej rundzie zaatakował Hull przedstawiciele Partii Republikańskiej (opozycja), którym zdradził, że przywoływał na konferencję moskiewską plan dotyczący przyszłości Niemiec, ale plan ten nie został oficjalnie przyjęty. Hull nieustannie powracał do dwóch głównych motywów polityki zagr. U. S. A.: 1. nie należy robić ani mówić nic, co mogłoby hamować działania wojenne, 2. należy uczynić wszystko, w związku z tym dwa pytania: „Czy rzeczywiście najlepsze usługi oddajemy w koniunacji wy, czy czekając aż każdy problem ujawni się, by go następnie rozwiązywać w jakikolwiek sposób, który wyda się w danej chwili najbardziej wskazany z punktu widzenia wojskowego?” i drugie pytanie: „Czy Stany Zjednoczone istotnie najpewniej zdobędą szacunek Rosji oraz uzyskają jej współpracę — ustępując jej na każdym kroku?”

Po tych wszystkich wyjaśnieniach Hull otrzymał list podpisanym przez czternastu republikkańskich członków Kongresu, w którym postawiono pytanie: „Co właściwie walczymy?”

W cztery tygodnie później amerykańskie Biuro Informacji Wojennej (OWI) opublikowało artykuł Waltera Lippmanna pt. „Amerykańska polityka zagraniczna”, w którym święty publicysta sumuje opinię Hull'a w sprawie błędów Wilsona. Pierwszym będem Wilsona było, że rozwiął koalicję, która walczyła w wojnie światowej z Niemcami i jej aliantami; tymczasem należało tej koalicji utrzymać aż do wykonania warunków traktatu pokojowego, a następnie przetworzyć ją stopniowo w stałą organizację światową dla utrzymania między narodami dobrego stosunku. Po wtóre, Wilson wysunął szereg zasad, od których przyjęcia przez inne narody uzależnił dalszy udział Stanów Zjednoczonych w systemie współpracy międzynarodowej; tymczasem należało za główną zasadę przyjąć stałą konsultację i dopiero na drodze takiej konsultacji dojść do ogólnych zasad. Wreszcie, Wilson popełnił błąd przez związane się zbrojnych koalicji z ogólnikową gwarancją — „wszędzie i na zawsze” — zamiast użycie ich do wymuszenia określonego traktatu pokojowego.

Lippmann sądzi, że konferencja moskiewska jest próbą uniknięcia tych błędów Wilsona; koalicja ma być utrzymana i po wojnie, zasady mają wyznaczyć się z prób rozwiązania konkretnych problemów; siły zbrojne koalicji mają dłużej do wprowadzenia porządku, jaki zostanie ustalony na konferencji pokojowej. Lippmann proponuje użycie listy spraw, których

nikomu nie będzie wolno załatwiać bez porozumienia się ze wszystkimi innymi; cele tej listy stałaby sprawą zawieszonych traktatów wojskowych i umów, z których istniejących; następnie szłoby o wzięcie rządów, zrywanie stosunków dyplomatycznych, mobilizacja, embargo, blokady i żądania terytorialne. „Lista ta będzie stała w miarę, jak będzie rosło zadanie, stwierdza Lippmann, nie potrzebując góry ograniczać. „Rzecz najważniejszą uczynić z konsultacji kamień węgielny projektu” i osiągnąć taki stan rzeczy, by w wszystkich sprawach, wymienionych w liście konsultacyjnej, „obowiązkami każdego państwa było wytłumaczyć swoje zamiary i by druga strona w każdym wypadku miała prawo być wysłuchana”.

Jeżeli taki „realista” jak Lippmann formułuje takie zasady „dobrej woli” i jeżeli takie sformułowanie lansowane jest przez oficjalną placówkę amerykańską, łatwo się domyślić, że sytuacja wobec całej polityki zagranicznej U. S. A. — conajmniej nie jest fatwa.

Terapia niekompletna

Jakub Mackiewicz zamieścił w jednym z tygodników Polskich na Bliskim Wschodzie rozprawkę na temat „zaburzeń pamięci wśród uchodźstw”. Konkluzja jest brzmiała: „Utrata pamięci w tej postaci, jaką spotęszamy wśród naszego uchodźstwa, nie jest chorobą; rezeryw pamięci, w jakimś stopniu zachowane. Nasza się porównawczo stanowiąca przed sobą jakieś stanowiące następujące: — każdy, kto chce pisać w rękopis, musi jednocześnie hamulec i przętnik. Woli rzecza prosta, nie ruszy z miejsca; jeśli kierowca zdejmie nogę z hamulca, to wóz natychmiast ruszy naprzód. Zaden mechanik tu nie jest potrzebny. Przy „utracie pamięci” zaden lekarz też nie jest potrzebny; każdy sam siebie może wyleczyć, trzeba tylko „zdjąć nogę z hamulca”.

Taka jest diagnoza Jakuba Mackiewicza. A teraz przyjrzyjmy się proponowanej przez niego terapii: „Należy dołożyć wszelkimi staran po temu, aby wyobrazić sobie *godę ducha, optymizm*, w sposób ogólnie osobiste trzeba wszelkimi sposobami zwiększyć postępującą w kierunku *autostegia*; stan bezczynności należy zastąpić czynną, aby dzieła zostały wypełnione; praca czynna, produkcyjna, dająca maksimum zadowolenia duchowego. Należy ożywić swoje ideały życiowe i... stanowiące należy wyrzucić się alkoholu. Wszystko to powoduje rozhamowanie kory mózgowej; drogi asocjacyjne z powrotem torują się i cwiączą. Tak samo jak zahamowanie powstaje w jednym punkcie kory mózgowej, promieniując i rozlewa się po większym obszarze, tak samo rozhamowanie, promieniując w jednym punkcie, promieniując dalej po całej kory mózgowej.”

Udajmy, że zahamowanie, które doprowadziło do „utruty pamięci”, to naszemu byłoby zagrożony w bardzo wysokim stopniu”. „Zaburzenie pamięci nie jest chorobą, lecz zjawiskiem zapobiegawczym; profilaktycznym przeciw chorobie, która nam, a przede wszystkim inteligencji groziła w sposób nieunikniony”. „Zahamowanie spowodowało zaburzenie uchronić (tj. dające się odrobić), które uchronić, nasz mógł od zniszczenia ograniczonej, nieodwracalnego”. Innymi słowami: przed niszczącymi wpływem tragicznych zdarzeń, przez chwilowe zawieszenie czynności i złączenia faktów zapamiętanych (asocjacje) — trzeba mózgowi stworzyć warunki takie, by pojawiające się w nim myśli nie były niszczące ale krzepiące, a wtedy zawieszona czynność ożywia się na nowo i „utrata pamięci” powróci.

Tak niewątpliwie jest. Ale czy dobra terapia jest „autostegia”? Czy człowiek, który znacznie sobie wzmocnił, w co nie wierzy, nie zapadnie na znacznie głośniejsze choroby mózgowe, niż utrata pamięci. Innymi słowami: czy tragiczne przeżycia, „troski ogólne i osobiste” są po to, by nad nimi przechodzić do porządku d. „płoda ducha i optymizm”? „Autostegia” nie zastąpi wiary i przekonania. Trudna sytuacja życiowa (i polityczna) są problemem wartości człowieka: kto od niego ucieka w fikcję, sam się oszadza. Trudność są na to, by je zgłębiać i znajdować nich wyjście. Optymizm można „nabudować” tylko przez umocnienie w sobie wiary w swoją zdolność pokonywania choćby i najtrudniejszych trudności.

Kto się uskarża na „utrata pamięci” (a nawet kto się nie uskarża!), niech nasłucha rad Jakuba Mackiewicza i niech szuka ratunku w łatwym optymizmie. Nie spodnie w gorsze jeszcze schorzenia, nie mogą być proste w i waz, niech wobec nich nie obniża poziomu swoich wymagań, niech szuka wyjścia zgodnego z jego własnym pojęciem o sobie samym, słowem: niech przed warza rzeczywistość zamiast od nie uciekać, a w najtrudniejszych chwilach odczuje, jak mu ją optymizm zalewa moza na sam widok działalności, z jaką otóż wśród trudności i nie załamuje się!

(m. r.)